# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 41. WARSZAWA, 24 WRZEŚNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.


## DWA PROCESY

NA południowo - wschodnich kresach toczą się dwa procesy sądowe, jeden w Sanoku, drugi w Samborze. W pierwszym idzie o zamordowanie młodego Polaka, ś. p .Chudzika w maju b. r. w Brzozowie. W drugim o mord, dokonany na osobie ś. p. Hołówki—przed rokiem w Truskawcu.

Pozornie oba procesy nie mają z sobą nic wspólnego. Toczą się jakby na dwu innych płaszczyznach. Chudzik zginął niewinnie od skrytobójczej kuli w chwili, gdy wracał do domu ciemną uliczką małego miasteczka po całodziennym wysiłku w terenie wsi wschodnio-małopolskiej. Na ławie oskarżonych zasiedli w tej sprawie trzej Polacy, z których dwaj są urzędnikami policji państwowej, a trzeci, jak stwierdza akt oskarżenia, był wykonawcą ich rozkazu i woli. Hołówko padł również od skrytobójczej kuli, skierowanej do niego znienacka, w nocy, kiedy kładł się do snu. Mordercami jego, jak wykazało śledztwo, byli terroryści ukraińscy. Oni też siedzą w Samborze na ławie oskarżonych.

Oba procesy, wyznaczone może umyślnie, może przypadkiem na jeden okres, ukazały oczom społeczeństwa ohydę obu zbrodni. Wynikiem obu procesów ma być ukaranie zbrodniarzy.

Byłoby to jednak zbyt formalne załatwianie sprawy, gdyby się tylko na tem miało skończyć. Brzozów i Truskawiec muszą Polsce powiedzieć znacznie więcej. Nie można uspokoić sumienia tylko wyrokami w dwu procesach, skoro obie zbrodnie kryją w sobie obraz potwornej rzeczywistości. Bo jeżeli prawdą jest, że Hołówko zginął od kul terrorystów ukraińskich, to żadną miarą nie powinien był ginąć Chudzik w Brzozowie. Domaga się tego, prosty, chłopski rozum i mądra racja stanu. Jeżeli zaś jednak Chudzik zginął tak, jak zginął—to śmierć Hołówki jest tylko logiczną konsekwencją, aczkolwiek o rok wcześniej zaszłą. Te dwie zbrodnie wypływają z siebie, mają jedno zatrute źródło i nierozerwalnie z sobą się łączą.

I nic tu nie znaczy, że w Truskawcu zginął głośny działacz i przewódca, a w Brzozowie skromny, mało znany pracownik społeczny. Istotą sprawy jest to, że obaj byli Polakami, aczkolwiek działającymi w dwu przeciwnych organizacjach politycznych. Nie mają znaczenia szczeble, na których obaj stali w hierarchji organizacyjnej w swoich obozach.

Dopóki będą mogli ginąć na tych ziemiach mniejsi lub więksi Chudzikowie, dopóki zbrodnią tak potworną jak brzozowska, będzie się „unieszkodliwiało" polskich pracowników narodowych na kresach, dopóty będą ginęli również Hołówkowie od takich kul, jak truskawieckie. Strzałom z Brzozowa odpowiadać będą zawsze strzały z Truskawca. Pierwsze będą przyczyną drugich. Nie trzeba szukać głębokich tajemnic częstej, coraz częstszej sytuacji we Wschodniej Małopolsce. Procesy w Sanoku i Samobrze wyjaśniają nam ją dokładnie.

Nie zmieni się też nic pod tym względem, jeżeli we Lwowie będzie dalej wolno bezkarnie

napadać na wiece polskie, choćby opozycyjne, jeśli krępować się będzie polską działalność społeczną, choćby nie przez zwolenników BB. organizowaną. Mord brzozowski, jego okoliczności, aranżerowie i wykonawcy — są niejako kulminacyjnym kryminalnym wyrazem tamtych mniejszych spraw. Ale politycznie należą do jednej kategorji zjawisk.

Kto na serjo myśli o Polsce, powinien zastanowić się nad związkiem przyczynowym obu spraw, i tej z Brzozowa i tamtej z Truskawca. Dają one bogaty materjał do refleksyj. Byłoby dobrze, gdyby refleksje te przyniosły otrzeźwienie i w następstwie rezultat.

KLAUDJUSZ HRABYK

# NIRA

TEN WYRAZ jest na ustach całego świata, niczem zaklęcie czarodziejskie. To symbol tych przemian, które zachodzą w Ameryce. Za pomocą NIRY prezydent Franklin D. Roosevelt usiłuje usunąć kryzys z Ameryki. Coraz częściej rozlegają się przytem głosy o rewolucji, która jakoby zachodzi w Ameryce, przeprowadzana przez prez. Roosevelta. Depesze i komentarze prasy codziennej wskazują na prezydenta Stanów Zjednoczonych jako na tego, któremu między innemi dobro klasy robotniczej leży gorąco na sercu, zmniejsza on bowiem czas pracy, podnosi zarobki, wprowadza ograniczenia dla przemysłowców i t. p.

Otóż skoro mowa o Stanach Zjednoczonych, trzeba najpierw poczynić cały szereg zastrzeżeń i wyjaśnień.

A więc, przedewszystkiem, należy zgóry pod znakiem zapytania postawić wszystkie informacje, pochodzące ze źródeł amerykańskich. Powtóre, pewnikiem niezbitym, takim, jak 2 x 2 = 4, jest fakt, iż prezydent Stanów Zjednoczonych jest wykładnikiem interesów pewnych przynajmniej sfer wielkiej finansjery. Żadna siła na świecie nie byłaby w stanie przeforsować na prezydenta Stanów Zjednoczonych człowieka, do którego cały wogóle świat finansowy odnosiłby się niechętnie. Prezydent Stanów Zjednoczonych jest ekspozyturą tej lub innej grupy wielkich kapitalistów.

Mając te dwa wskaźniki, możemy się dopiero samodzielniej i swobodniej zorjentować w tem, co się dzieje w Ameryce.

Informacje, pochodzące ze Stanów Zjednoczonych, można zgrubsza podzielić na dwie kategorje: informacje, pochodzące ze źródeł amerykańskich, bądź w interesie Ameryki i wiadomości niezależne od tych interesów.

Nietylko Stany Zjednoczone, ale i cały świat został zarzucony propagandą na rzecz akcji prezydenta Roosevelta.

Na czem ta akcja polegała i przeciwko czemu została wymierzona? Kryzys amerykański spowodował olbrzymie bezrobocie, które mniej więcej oceniano na piętnaście miljonów nie zatrudnionych. To było największe zło, bo przedłużające się bezrobocie tak olbrzymiej ilości ludzi groziło społecznem niebezpieczeństwem. Były już masowe ruchy głodowe, które przy pomocy dowcipnych, zręcznych figlów wekslowano na inne tory. Ale to jest akcja na krótką metę. Zresztą pamiętać trzeba, że wiadomości z głębi kraju do centrów płyną w Ameryce za pośrednictwem ajencyj dziennikarskich, które są ekspozyturą wielkiego kapitału. Do prasy nie przedostanie się nic, co może prawdziwie zaszkodzić potędze wielkiego kapitału. Korespondenci prasy zagranicznej, zgrupowani przedewszystkiem w ważniejszych ośrodkach wschodu (New York, Washington, Boston, Chicago, Detroit, Pittsburgh, Cleveland), czy zachodu (San. Francisco) mają wiadomości z głębi kraju o tyle, o ile podadzą je ajenci.

W Ameryce zaczęto się obawiać wybuchu na szeroką skalę rozruchów głodowych i wojny wewnętrznej, wynikłej na tem tle, co mogłoby sprowadzić przewrót komunistyczny. Z powodów ekonomicznych—ruchu społecznego, który mógłby drogą gwałtu przesunąć ośrodek władzy politycznej w inne ręce. A więc obawa przed całkowitem zachwianiem dotychczasowego stanu posiadania.

Położenie ogólne zaostrzało się przez głębokie niezadowolenie rolników, którzy wskutek katastrofalnego spadku cen płodów ziemnych znaleźli się w tak trudnej sytuacji, że ucieczka ze wsi do miast stała się objawem masowym.

Wyłoniony przy prez. Rooseveltcie t.zw. „trust mózgów“ jest właściwie sztabem wielkiej finansjery amerykańskiej, którego zadaniem jest obmyślenie środków w celu zapanowania nad sytuacją, przedewszystkiem w interesie wielkiego kapitału. Dostatecznie świadczy o tem skład osobisty tego „trustu mózgów“, w którym rolę najwybitniejszą gra miljoner żydowski B. Baruch, ongi doradca prez. Wilsona i człowiek zaufany wielkiej finansjery żydowskiej. Pozatem jest tam P. Warburg, syn bankiera żydowskiego z Niemiec, Mardochai Ezechiel, Walter Lippman i kilku innych, równie wpływowych żydów, tajemnemi nićmi połączonych z kulisami wielkiej finansjery.

Zamierzono najpierw opanować katastrofę w rolnictwie i w tym celu wydano *Farm Relief Act*, zmniejszający powierzchnię zasiewów rolnych. Rolnictwo w Ameryce jest zmotoryzowane na sposób fabryczny. A za główną przyczynę spadku cen płodów rolnych uważano nadprodukcję. Postanowiono powstrzymać nadprodukcję i poza rolnictwem. Była to idea kartelowa. Mimo wielkiej potęgi kartelów w Ameryce istnieją jeszcze, oprócz średnich producentów, zwłaszcza na dalekiej prowincji, potężni wytwórcy, opierający się tym czy innym kartelom, np. Ford. Otóż pewna grupa kapitalistów zamierzyła skorzystać z tak potężnego środka, jak modna obecnie interwencja państwowa, która umożliwia przeprowadzenie planu za pośrednictwem aparatu państwowego.

Inna grupa kapitalistów, bezpośrednio nie zainteresowana w akcji „skartelizowania“ przemysłu środkami państwowemi, miała swoje własne kłopoty: długi. Ci kapitaliści zgodzili się poprzeć uzdrawianie kraju z kryzysu środkami, w których nie są bezpośrednio zainteresowani, ale za cenę oddłużenia. A ponieważ nie chcieli czekać, więc zastosowano najszybszy środek: inflancję. Prezydent Roosevelt zainicjował tedy grę z dolarem: odłączenie dolara od złota, obniżenie pokrycia złotem do 50%, zniesienie klauzuli złota w umowach prywatnych. Program reformy i uzdrowienia został okupiony w ten sposób, że jedna, potężna grupa

kapitalistów, otrzymała zmniejszenie długów przy pomocy inflancji.

Teraz przychodzi akt następny.

Pod koniec lipca ukazuje się na światło dzienne NIRA czyli „*National Industrial Recovery Administration*". Ustawa ta zawiera zarządzenia, regulujące płace i czas pracy w przemyśle, mianowicie maksymalny dzień roboczy i minimalne zarobki. Każdy dział przemysłu ma swoje specjalne „*Codes of fair competition*", które pod państwową kontrolą ustanawiają stosunek między pracodawcami i pracobiorcami. Pierwszy taki „*Code*" wprowadzono 17 lipca w przemyśle włókienniczym. Tygodniowy czas pracy ma od 1 sierpnia wynosić 35—40 godzin, zaś *minimum* płacy 12 do 15 dolarów tygodniowo. Ale przędzalnie, znajdujące się w Stanach południowych, jak Wirginja, Karolina i t. p. mogą pracować z zyskiem, ponieważ robotnik jest tani. Zarobki np. w północnej Karolinie są o połowę mniejsze, niż w Massachusetts. Otóż wprowadzenie jednolitych zarobków na zasadzie t. zw. *minimum* płacy spowoduje wzrost zarobków w stanach południowych, co wywoła nieopłacalność przędzalni. Ulegną one zamknięciu, względnie robotnicy będą emigrować na północ. Wprowadzenie jednolitej płacy grozi zaburzeniami w przemyśle, ewentualnemi ruchami robotniczemi. Z całej powodzi hałaśliwej propagandy na rzecz NIRY można wyłowić wiadomości, że podobne kłopoty są już nietylko w przemyśle włókienniczym, lecz i w innych działach życia gospodarczego na całym terenie Stanów. Na podstawie historji życia gospodarczego w Stanach Zjednoczonych można zaryzykować twierdzenie, że akcją tą kierowała między innemi „myśl kartelowa": upiec trzy pieczenie przy jednym ogniu. Zmniejszyć bezrobocie, a więc odsunąć kryzys społeczny, ożywić rynek i potrzecie: grupa kapitalistów, stojąca przy sterze aparatu państwowego, dzięki interwencji państwa może usunąć konkurentów, a także zgnębić średni przemysł, wprowadziwszy swoistego rodzaju „skartelizowany socjalizm państwowy", na którego czele stać będzie wielka finansjera. Nie każdy może przetrzymać podwójną kombinację NIRY: redukcję godzin pracy, a więc zwiększenie personelu oraz podwyżkę płac. Wykonawcami tej reformy są prezydent i generał Johnson. Ale doradcą prezydenta jest p. Baruch, „doradcą dyskretnym, pozostającym za kulisami"; dyktator przemysłowy, gen. Johnson jest znów „mężem zaufania" tegoż p. Barucha. „*Da liegt der Hund begraben...*"—powiadają Niemcy w takich okolicznościach. I dlatego z wielką ostrożnością trzeba przyjmować wiadomości o tem, że prez. Roosevelt

„rozprawił się z wszechwładztwem wielkiej finansjery, która rządziła Ameryką. Podporządkował swej woli potężne trusty przemysłowe, skłaniając je do przyjęcia dyktowanych przez jego „Kodeks pracy" warunków. Królowie stali, węgla, żelaza itd. na rozkaz prezydenta poszli na ustępstwa..."

— jak pisze w „Gazecie Polskiej" w korespondencji z Londynu p. Florjan Sokołów (żyd). Prezydent Roosevelt robi tylko to, co jest w interesie najpotężniejszej (w danej chwili) grupy finansistów. Nic innego. Opowiadania o jakiejś nadzwyczajnej, łamiącej wszystko, dyktatorskiej władzy prez. Roosevelta, przed którym drżą i uginają się królowie stali, węgla, żelaza i t. p., są tylko amerykańskim humbugiem, potrzebnym jako dekoracja dla tej akcji. Widzieliśmy w Polsce, jak min. Hubicki musiał skapitulować przed potęgą koncernu śląskiego. A przecież potentaci finansowi w Polsce, to karzełki wobec amerykańskich. Trzeba mieć również na uwadze, że korzystając z okazji i płynąc na fali opinji publicznej, zręcznie wyreżyserowanej w kierunku popierania prezyd. Roosevelta, jako jakiegoś zbawcy, pewna grupa wielkich finansistów w Ameryce dąży do całkowitego opanowania nietylko życia gospodarczego, ale wszelkich motorów władzy. Gdy słyszymy o tem, czego to dokonywa prez. Roosevelt, pamiętajmy, co pisał F. R. Kent, jeden z najwybitniejszych publicystów Ameryki, iż: „jest to złudzenie, że można wybrać w Ameryce prezydentem tego, do kogo wielkie siły finansowe New-Yorku odnoszą się z wyraźną niechęcią".

Spadek cen, to zniżka kursów akcyj, które w Ameryce spadły były nadzwyczajnie. Koncerny amerykańskie nie były już w stanie dalej rozwijać kredytu konsumpcyjnego, tembardziej, że nie kupowano już nawet na kredyt, przeto rzucono się z jednej ostateczności w drugą. Zwyżka cen—oto hasło. Ceny skaczą wgórę, ale płace mniej. Bo zwyżka płac, według planu NIRY, dla wielu przedsiębiorstw jest niepodobieństwem, oznaczałaby dla nich deficyt i w krótkim czasie wstrzymanie produkcji. Byłoby to może dogodne dla danego kartelu, ale nie jest pożądane dla przemysłowca, który musiałby zamknąć przedsiębiorstwo.

Plan NIRY związania produkcji i konsumpcji może się rozbić o siłę nabywczą ludności. Bo liczba bezrobotnych zmniejszyła się zaledwie o półtora miljona, pozostało więc jeszcze trzynaście miljonów niezatrudnionych, według danych urzędowych. Więc kto będzie, przytem po cenach podwyższonych, kupował te towary, które niedługo będą rzucone na rynek?

Z poza NIRY wyłania się znów widmo nadprodukcji.

Dużo ma słuszności M. Chaminade, publicysta „*Je suis partout*", gdy pisze, że prez. Roosevelt bawi się dynamitem.

Wybuch tego dynamitu może być katastrofalny dla całego świata.

WŁADYSŁAW WOLERT

# TRAGEDJA NIEMIEC

Obchód 250-tej rocznicy odsieczy wiedeńskiej, przy wybitnym udziale Polski, odbił się w Rzeszy przykrem echem. Szereg pism północno-niemieckich usiłował wykazać, że to nie Sobieski ocalił Wiedeń, ale niemieccy książęta, że to jest narodowa rocznica niemiecka. A wiemy przecież, że Niemcy protestanckie życzyły zwycięstwa nie Sobieskiemu i Habsburgom, ale Turkom i węgierskim rebeljantom. Naoczny świadek, Pasek, stwierdza, że w Gdańsku modły odprawiano po zborach na intencję zwycięstwa Turcji.

Głosów prasy niemieckiej nie należy jednak traktować ze wzgardliwem oburzeniem, jako wyrazu megalomanji germańskiej. Jest to coś głębszego znacznie, niż megalomanja narodowa. Butny ton jest tutaj płaszczem, okrywającym największą może tragedję narodu niemieckiego.

W epoce, w której formalna więź przynależności państwowej zastąpiona została moralną więzią przynależności narodowej, szczególnie wyraźnie widać tragedję narodu, który nie posiada jednej wiary, jednej moralności, jednej kultury etycznej. Luter wystąpił w imię jedności narodowej, a przecież rozbił naród. Miejsce jednego społeczeństwa, które w średniowieczu miało poczucie swej wielkiej misji w Europie, zastąpiły dwa społeczeństwa: to, które życzyło zwycięstwa Leopoldowi i to, które życzyło zwycięstwa Tökölemu, a z nim sułtanowi. Odbudowa jedności Rzeszy w XIX wieku, to odbudowa na gruncie kultury protestanckiej, której wpływ sięgnął nawet w życie katolików niemieckich.

Hitleryzm powstał w Niemczech katolickich. Jego przywódcy są w znacznej mierze katolikami, a kolebka ruchu narodowo - socjalistycznego stała w stolicy katolicyzmu niemieckiego, w Monachjum. Ale jednocześnie najsilniejsze oparcie w masach znalazł hitleryzm na protestanckim północo-wschodzie, a obok ducha Monachjum wpływać na niego począł duch Potsdamu. I największą trudnością dla ruchu odrodzenia narodowego niemieckiego stało się znalezienie syntezy kultury duchowej narodu.

Ten kłopot widać choćby z broszury niesłychanie w Niemczech popularnej, i bardzo ważnej, z „Nauki obowiązków członka oddziału szturmowego”, która jest katechizmem każdego „*Sturmabteilungsmann*'a“. Mówiąc o potrzebie religji, instrukcja ta powiada: „Dla nas, Niemców, wchodzi w rachubę tylko Chrystjanizm, przekazany nam pod dwiema formami — katolicyzmu i protestantyzmu”. Ta dwojaka podstawa równowagi dusz ludzkich w ruchu tak jednolitym, w ruchu, którego hasłem jest „*Gleichshaltung*“, jest szczególnie rażąca.

Pierwszym krokiem ku odnalezieniu siebie, ku odnalezieniu wspólnoty duchowej Niemiec, było dokonane przez hitlerowców oczyszczenie życia niemieckiego z przytłaczających je wpływów kultury żydowskiej. Ale Niemcy rozumieją, że powinienby nastąpić krok drugi, że doskonała jedność duchowa powinnaby być oparta na jakiejś jednej wierze, a nie na formalnej współrzędności dwu wyznań, życzliwie przez rząd popieranych.

Jak zatem znajdzie nacjonalizm niemiecki swoją jedną podstawę moralną? Na tem tle dopiero zrozumiała się staje, rozpaczliwa dość w swem założeniu propaganda Rosenberga za religją starogermańską. To, co z naszego punktu widzenia wydaje się conajmniej niepoważne, jest wynikiem zrozumienia tragedji, polegającej na rozdwojeniu duchowem narodu.

Narazie hitleryzm wynalazł, może niezupełnie świadomie nawet, inny sposób: religję usiłuje zastąpić kultem rasy. W dobie szczególnego rozwoju znaczenia duchowej jedności narodów i powrotu znaczenia religji w życie ludzkie, wielki naród, nie mający jednej — panującej w życiu jego zbiorowem — religji, jest naprawdę w położeniu tragicznem. Naród niemiecki usiłuje wspólną wiarę w Boga zastąpić, choćby częściowo, wiarą w „nordycznego człowieka“. Jest to widowisko, zasługujące nietylko na zainteresowanie, ale i na współczucie.

Tragedja Niemiec, ujawniona przy okazji 250-lecia bitwy pod Kahlenbergiem, zwraca naszą myśl ku drugiemu tegorocznemu obchodowi, ku 400-nej rocznicy urodzin Stefana Batorego. Ten właśnie król, wychowany w protestantyzmie, nie zawahał się stanąć u nas na czele reakcji katolickiej, w okresie, w którym większość możnowładców i poważna część szlachty, wraz ze swemi wsiami, stała w obozie protestanckim. Jest to jedna z największych zasług Batorego, że przyczynił się do przywrócenia jedności duchowej Polski i przez renesans katolicyzmu oszczędził nam tragedji narodu niemieckiego.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

# GŁOS KRWI

PRZEWRÓT niemiecki, pod wodzą Hitlera dokonany, ostrzem przeciwko żydom zwrócony, ale trzonem w odrodzeńczej woli narodu tkwiący, płynie dwiema swojego nurtu warstwami: wierzchnia — to ruch wyzwoleńczy społeczno-polityczny, ruch, zmierzający zarazem ku przebudowie państwa i społeczeństwa, oraz głębsza — to ruch także wyzwoleńczy, ale biologiczny, sięgający do rasowych pokładów narodu i zmierzający do oczyszczenia i umocnienia podstaw duchowej kultury narodowej. Oba ruchy zgodnie ostrzem swojem zwrócone są przeciwko żydom, a to dlatego, że zarówno w pierwszem jak i drugiem zadaniu na przeszkodzie stali żydzi, i tu i tam jednakowo narodowi niemieckiemu zgubą zagrażający.

Jako ruch społeczny i polityczny, przewrót hitlerowski walczy zasadniczo przeciw socjalizmowi i komunizmowi, które w Niemczech rozrosły się do rozmiarów niebezpiecznych. Że jednak twórcami i kierownikami socjal-komunizmu są żydzi, więc siłą rzeczy przewrót narodowy przeciwko nim przedewszystkiem zwrócić się musiał. Zło usuwa się od korzeni, chorobę nie w jej objawach się leczy, ale w jej przyczynach. Gdyby twórcami i kierownikami socjal-komunizmu byli murzyni, ruch wyzwoleńczy narodu wypowiedziałby wojnę murzynom. W tej wierzchniej warstwie narodowego ruchu niemieckiego żydzi wyłącznie sami sobie mogą zawdzięczać to, że wystawili się na pierwszy atak przewrotu hitlerowskiego. Sami w cudze drzwi palce swoje wstawili.

Jako ruch biologiczny, przewrót hitlerowski w sposób również logiczny i konieczny musiał przedewszystkiem zwrócić się przeciwko żydom. Nikt inny, tylko właśnie żydzi dokonywali pokojowego najazdu i podboju państwa i społeczeństwa niemieckiego. Powszechnie wiadomo, że rewolucję niemiecką tuż po wojnie światowej urządzili żydzi, przez co osiągnęli w państwie Rzeszy wpływy przeważne i niemal już u steru władzy stali. Kierownictwo społeczne i kulturalne coraz widoczniej przechodziło w Niemczech do rąk żydowskich. O ogromnym udziale żydów w nauce i sztuce niemieckiej sami żydzi obecnie rozpisują się szeroko, dając tem samem niepodejrzane świadectwo, jak dalece stali się dla kultury niemieckiej niebezpieczeństwem bezpośredniem i groźnem. Naród niemiecki ujrzał nagle, że w jego własnym domu rządzą obcy przy-

bysze, obcego mu ducha narzucają, jego samego od kierownictwa jego kulturą usuwają, oblicze mu narodowe skażają, duszę narodu mącą, paczą i usypiają, a wreszcie do jego krwi drogą małżeństw mieszanych wpełzają, co staje się już ostatnią śmierci narodu zapowiedzią. Wobec tego musiał nastąpić wstrząs organizmu zagrożonego, a żydzi wyłącznie sami sobie mogą zawdzięczać to, że wystawili siebie na pierwszy cel tego wstrząsu ozdrowieńczego. Sami w cudzego ducha i w cudzą krew zapełzali.

W przewrocie hitlerowskim przemówił nietylko głos gospodarza domu przeciw „gościom" zaborczym, ale i głos krwi, wzburzonej przeciwko krwi obcej, podstępnie, czasem i w celach złośliwych wsączanej. Cokolwiek mówią teoretycy rasizmu niemieckiego i cokolwiek czynią jego praktycy, jedno w teorjach tych i działaniach jest bezwzględnie pewne: każdy naród powinien sam u siebie sobą rządzić, sam własnym duchem i własnemi rękami siebie i kulturę swoją budować. Nikt obcy nie ma tu nic do powiedzenia i nic do czynienia, a jeżeli wtrąca się, powinien być za drzwi wyrzucony. Prawo to jest pewnikiem, którego (co tu najciekawsze) sami żydzi w stosunku do własnego narodu z całą bezwzględnością i zaciekłością od wieków przestrzegają. Żydzi jednak i tu, jak zawsze i wszędzie, pełni obłudy, fałszu i oszustwa, z wrzaskiem, płaczem i klątwami narzucają innym narodom to, co sami od siebie odpychają.

Jakkolwiek na rynku świata, tłumiony przez różne międzynarodówki żydowskie, głos krwi każdego narodu mało lub wcale dotychczas nie ujawniał się w słowach, teorjach lub zarządzeniach urzędowych, to jednak żywy jest on i czynny w instynktach każdego narodu, w jego intuicji życiowej i w obyczajach. Jedynie zrządzeniem sił pobocznych stało się to, że Niemcy pierwsze weszły na drogę państwowego uprawnienia zasad, któremi bezwiednie i milcząco kieruje się głos krwi każdego narodu. Przemawiał on dawniej i gdzieindziej w postaci teorji naukowej, a w świadomości obywatelskiej ujawniał się wszędzie, gdzie go z głębin instynktu narodowego wydobywało niebezpieczeństwo najazdu obcego. Ponieważ żydzi są narodem obieżyświatów i krajokrężców, do każdego narodu się wkręcających, więc im to przed innemi przypadło w udziale najściami swojemi obudzać w każdym zdrowym narodzie jego świadomość narodową, a głos jego rodu i krwi przeciw najeźdzcom oburzać. Historja żydów, pod tym kątem ujęta, podaje liczne takich wstrząsów objawy, zaś powiedzenia i sądy różnych mędrców i przewódców wielu czasów i narodów, dotyczące zagadnienia krwi, rodu i rasy, zwłaszcza przez najścia żydów wywołane, mogłyby pokaźny tom druku zapełnić. Nie sięgając tam i ówdzie, co zresztą każdy czytelnik sam uczynić może, pragnę tu przy sposobności tego tematu przypomnieć, że w Polsce w czasach jej niewoli, od Staszica po Choińskiego, Popławskiego i Dmowskiego wielu pierwszorzędnych pisarzów i działaczów politycznych jasno sprawę żydowską stawiało.

Żydzi usiłują obecnie szerzyć w świecie „przewidywania" swoje, że ruch hitlerowski wywoływać będzie w wielu krajach w stosunku do żydów „naśladownictwa". Chcą oni tym sposobem wszelkie „możliwe" wyzwoleńcze ruchy narodów, zgóry, jako niby nie naturalne, ale z pędu naśladowczego powstałe — oczernić i osłabić. To już im się nie uda. Rzeki wzbierającej żadna nie wstrzyma inżynierja. Dla ścisłości jednak i ze względu na prawdę historyczną, chcę tu, oprócz wyżej wymienionych, znanych w Polsce nazwisk, przytoczyć osobisty głos krwi, który w kraju naszym na długo przed przewrotem hitlerowskim stawiał sprawę żydowską na tej samej płaszczyźnie, to jest — na biologicznej podstawie rasy i krwi. Mówię tu o swoich dziennikarskich szkicach o sprawie żydowskiej, objętych w części książką, wydaną w roku 1929, a noszącą tytuł: „W ogniu walki". Czas, kiedy te szkice były w prasie drukowane, rozciąga się od roku 1912 do 1925. Niech mi wolno będzie samego siebie z zapomnienia wydobyć. Usprawiedliwia mnie chęć udowodnienia, że polski głos krwi przemawiał samodzielnie i był objawem nurtującego naród instynktu, który wreszcie i czynami nie pod wpływem obcym, ale z samego siebie przemówi.

W szkicu polemicznym z roku 1912 p. t. „Pod maską", adresując do pewnych kół „postępowej" inteligencji polskiej, pisałem, że:

„Pod maską kryje się istotne ich rozumienie narodowości, jako duszy gromadnej, która tylko w pewnych granicach właściwości psycho-fizjologicznych objawia się i jako naród żyje. Pod maską kryje się istotne ich rozumienie żydów, jako żywiołu zasadniczo obcego i wrogiego nietylko Polakom, lecz całej grupie aryjskich narodów europejskich. Pod maską kryje się odruch ich instynktów, które wstrząsają się przy zetknięciu się z duszą semicką tak samo, jak dusza żyda wstrząsa się przy zetknięciu się z duszą aryjską. Pod maską kryje się istotne ich rozumienie, że jeśli można pod naciskiem złej konieczności znaleść społeczny *modus vivendi* dla Polaków i żydów, to duchowego, a więc krwią bliskiego, narodowego sposobu współżycia znaleść nie można. Pod maską kryje się istotne ich rozumienie, że wprawdzie każdy Arja spolszczyć się może w drugiem już pokoleniu i krwią z nami niemal bez reszty pomieszać, ale że tak daleka krew, jak semicka, ciągle odzywać się będzie i nawet w małym procencie już pewne dla nas przedstawia niebezpieczeństwo. Pod maską wreszcie kryje się istotne ich rozumienie, że co jest możliwe w tysiącznym ułamku odsetki, to staje się potwornością i grobem dla narodu przy kilkumiljonowem mnóstwie, któreby zechciało być „synami narodu", dwadzieścia miljonów głów liczącego. Przy takim rachunku, nawet tak bliski naród, jak Czesi, gdyby wszedł w nas i zlał się z nami, zniszczyłby i zeszpecił równie swoją, jak i naszą duszę narodową, a cóż mówić o żydach, których od tysiącleci wypracowany, skrystalizowany i mocny, a tak nam obcy typ zabiłby nasze młodzieńcze jeszcze i niewyrobione pod względem typu rasowego życie!"

Słowa powyższe drukowane były w roku 1912. A oto uzupełniające zdanie, ze szkicu p. t. „Błąd w perspektywie" (z roku 1913) — wyjęte: „Żydzi w całem swojem wielomiljonowem mnóstwie garnący się do języka polskiego, do kultury naszej, do współobywatelstwa uczuć i ducha z nami!.. czy podobna wymyślić potworniejsze, bardziej szatańskie dla nas niebezpieczeństwo w tej sprawie?!" W szkicu tym stawałem po stronie separatyzmu żydowskiego, uważając go za objaw dla żydów zdrowy, a dla Polski — pożądany. Uogólniony zaś punkt widzenia na to zagadnienie znajduję w szkicu z roku 1925 p. t. „W kleszczach", w brzmieniu

następującem: „Do tych czterech frontów (-(wojny z żydami)-) dołączyć jeszcze należy walkę z najohydniejszym podstępem żydowskim, który na tem się zasadza, że żydzi zapomocą małżeństw krwią się z Polakami łączyć usiłują i tem gruntownie nam chcą rasę zepsuć... Ten punkt dotyczy głównie inteligencji i jest odcinkiem na froncie walki o ducha i kulturę, ale odcinek to tak ważny, że go tu wyodrębniam, pomimo, że o innych poszczególnych odcinkach w tym szkicu ogólnym nie wspominam. Rasa—to grunt gruntów. Wszystko inne, choć zepsute, da się naprawić, ale rasa zepsuta—to śmierć nieodwołalna! Zatem — wojna o rasę!"

Tezy, w przytoczonych tu słowach stawiane, mają swoją syntezę, do praktycznego urzeczywistnienia zastosowaną, którą w szkicu p. t. „Dno sprawy" z roku 1919 w następujących słowach wyraziłem:

„Pominąwszy wreszcie całą niższość biologiczną żydów, i gdyby to był naród o typie dla życia całkowicie dodatnim, to i wówczas nie wolno byłoby Polakom wchłaniać ich i przerabiać, albowiem narody istnieją po to, aby samodzielnie i indywidualnie do swoich celów dążyły i na równych ze sobą prawach kulturę tworzyły. A te prawa, równe dla każdego narodu, stanowi właśnie własny kąt ziemi, własne granice, własny warsztat pracy. Jeśli więc komu o „sprawiedliwość" wyłącznie chodzi, to pierwszym warunkiem sprawiedliwości w stosunku do narodu żydowskiego jest obdarzenie go własną ziemią, własnem państwem terytorjalnem. A to się może stać tylko na drodze całkowitego wydalenia żydów z Polski. Najgłębiej zaś ujęta i na swojem istotnem dnie oparta sprawa żydowska w Polsce jest ściśle taka sama, jak sprawa murzyńska w Ameryce, to znaczy: nie może być na mocy żadnych sprawiedliwości społecznych, lub narodowych rozstrzygana. Jej dnem jest zagadnienie stosunku ras niższych do najwyższej, zagadnienie, które Arjowie będą musieli kiedyś rozwiązać z całą potęgą, równie w stosunku do żydów, jak Chińczyków, murzynów i innych, przez przyrodę na odejście, lub wegetację skazanych, plemion, gromad i ras".

Przytoczeń powyższych wystarczy dla udowodnienia, że rosnący obecnie wyzwoleńczy ruch przeciwżydowski posiada w Polsce własne korzenie i własną tradycję. A mam wrażenie, że rasowe w tych przytoczeniach postawienie sprawy żydowskiej nie może być ujęte wyraźniej i mocniej. Poglądy tak proste na przedmiot tak jasny nie wymagają teorji naukowej. Ale Niemcy bez teorji obyć się nie mogą, więc wypracowują teorję rasizmu, którą, według swojego zwyczaju, do ciasnych swoich potrzeb imperjalizmu naginają. Istniejące w narodzie polskim poczucie rasy i krwi, byle tylko w uświadomieniu swojem rozpowszechnione, nie ma potrzeby oczekiwać na teorję. Bez wzorów i samo z siebie oddawna już przemawia, ażeby wreszcie w chwili odpowiedniej dziełami się urzeczywistnić.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

# KARTKA Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO W POLSCE

(Dokończenie)

## 10. OSTATNI ROK W SZKOLE — OSTATNIE TARCIE Z SIENGALEWICZEM — I WYZWOLENIE Z TEJ KAŹNI

SIENGALEWICZ, po rozbiciu naszego kółka tajnego, nie ustawał w dalszem śledzeniu nas i dalszem terroryzowaniu uczniów i ich rodziców. Był coraz więcej agresywny, gdyż nastały po kuratorze Wittem, kurator Apuchtin, znany ze swej nienawiści do polskiej kultury i najsroższy przedstawiciel systemu rosyjskiego wychowania państwowego, dawał mu jaknajwiększe poparcie: Siengalewicz był dla Apuchtina w przeprowadzeniu tego systemu jaknajlepszym współpracownikiem. To też odznaczenia i łaski z góry sypały się wciąż na Siengalewicza. Żadne skargi, nieśmiało zanoszone na niego przez udręczonych, rodziców, żalących się o wypędzanie uczniów, nie znajdowały posłuchu. To jeszcze bardziej uzuchwaliło Singalewicza. Czuł się silniejszym od miejscowych przedstawicieli władz, a nawet silniejszym od żandarmerji i policji, zwłaszcza, gdy został członkiem tajnej „Ochrany". Wówczas, jak dochodziły nas wieści przez synów tych urzędników rosyjskich, Siengalewicz rozpoczął nawet walkę z urzędami oraz z żandarmerją i policją, donosząc, że one nie dość stanowczo i silnie występują przeciw *„polskoj kramole"* (buntowi). Widzieliśmy co parę dni zjawiających się oficerów żandarmerji na jakieś poufne narady z Siengalewiczem. Czy mu zdawali raporty, jako wyższemu ajentowi „Ochrany", czy od niego dostawali jakieś informacje, nie wiadomo było, ale te stosunki były ciągłe i żywe. Siengalewicz nie zadowolił się działaniem na lubelskim gruncie, ale został użyty przez rząd do akcji na terenie zagranicznym, proces o zdradę państwa moskalofilki Olgi Moraborowej we Lwowie, miał w tym czasie podobno wykazać dosyć wybitny udział Siengalewicza w agitacji moskalofilskiej w Galicji; pamiętamy przyjazd do Lublina ks. Naumowicza, b. księdza unickiego w Galicji, który tam przeszedł na prawosławie i jego narady w gmachu szkolnym z Siengalewiczem. Oczywiście wszystko to wzmacniało pozycję Siengalewicza w „Ochranie" tak, że zaczął coraz bardziej zadzierać z żandarmami, o czem wieści przenikały i do nas, ale uważaliśmy to za plotki. Jakież było nasze zdziwienie, gdy pewnego rank przeczytaliśmy napis, wyskrobany na murze przy wejściu do bramy szkolnej: „Dyra dostał dziś w papę od Andriasza" — Andriasz był kapitanem żandarmerji, naczelnikiem powiatowym zarządu lubelsko-żandarmskiego, ojcem ucznia lubelskiego gimnazjum. Podobno Andriasz, zniecierpliwiony owemi ciągłemi donosami

na siebie przez Siengalewicza, nie wytrzymał i, przyszedłszy do mieszkania dyrektora, spoliczkował go.

Sprawę zatuszowano — Andriasza gdzieś przeniesiono, tylko uczniacy mieli nareszcie dużą satysfakcję, że ich znienawidzony dyrektor otrzymał za swoje. Ale to go nie powstrzymało. Słynna była także wówczas sprawa studenta Uniw. Warsz., Żukowicza, syna wyższego urzędnika w Lublinie, którego brata Siengalewicz sekował. Gdy nie pomogły odwoływanie się do kuratora Apuchtina, student Żukowicz poszedł (w 1884 roku) na audjencję do Apuchtina i tam go wobec zebranych petentów spoliczkował, mówiąc: „To za Siengalewicza". Wybuchły wówczas rozruchy studenckie przeciw Apuchtinowi i wielu wydalono. Siengalewicz pomimo tego pozostał dalej groźnym, dokuczliwym — coraz więcej dochodziło nas wieści, że pewny bezkarności zaczyna coraz mocniej trapić zamożniejszych ojców—Polaków żądaniami swoistych łapówek; naprzykład: dostawcy jakichś materjałów (drzewa, węgla) do szkoły, rzemieślnicy, wykonywający roboty dla szkoły, a mający dzieci w gimnazjum, podobno zmuszani bywali do podpisywania kwitów za odebrane rzekomo pieniądze, a pieniędzy nie dostawali—stanowiło to uboczny dochód dyrektorski. Czy była to prawda i w jakich rozmiarach to było praktykowane, nie wiadomo, ale te wieści wciąż uporczywie szerzyły się — i podobno one to przyczyniły się do obalenia, ale już w późniejszym okresie, już po mojem wyjściu z gimnazjum, Siengalewicza ze stanowiska dyrektora i przeniesienia go na cenzora w Warszawie.

Tu zanotuję jeszcze ostatnie moje z nim konflikty, które zagroziły mi bardzo wyraźnie nieotrzymaniem matury. Pewnego razu wspomniany powyżej Tołubiejew, który zaawansował z nauczyciela na inspektora gimnazjum, zauważył u mnie, że z 9 guzików munduru mam 3 czy 4 nie zapięte. Przepis w § 1 wyraźnie wymagał zapięcia na wszystkie guziki. Widocznie zapomniałem je dopiąć. Tołubiejew zdał o tem raport Siengalewiczowi, a ten z miejsca kazał iść do domu, to znaczy wydalił i zwołał Radę pedagogiczną na osądzenie mnie za tę niesubordynację i ukaranie. Oczywiście szukano pozoru, żeby ze mną skończyć, bo we wszystkiem bardzo się pilnowałem, ale dyrektor podejrzewał, że jestem jednym ze sprawców odpornego stanowiska uczniów.

Trzeba było odwołać się znów do pomocy czcigodnego profesora Chałubińskiego, a szczęśliwie dla mnie złożyło się, że dyrektor zachorował na *miserere* i pojechał szukać porady do Warszawy, do Chałubińskiego. Wówczas profesor jakoś w rozmowie wpłynął na niego, żeby mnie zostawił w spokoju.

Rada pedagogiczna jednak, chcąc mnie ukarać, a czekałem w domu wówczas, wydalony, na pozwolenie powrotu do szkoły, uchwaliła, ażebym opuścił dom Matki mojej, jako nie dający mi (jak się wyrażano) pewnego moralnego oparcia, i przeszedł pod dozór bezpośredni jednego z nauczycieli, zamieszkując u niego na stancji. Pod tym warunkiem pozwolono mi zostać (w 8-ej klasie) w gimnazjum.[1])

Zacny profesor Polak, Doboszyński zdecydował się przyjąć mnie na stancję, bez prawa wychodzenia i odwiedzania Matki, na innej ulicy tylko mieszkającej. Musiałem to zrobić i przez pół roku od jesieni do wiosny byłem na stancji profesora — ojca mojego kolegi, o którym z początku mówiłem—i oczywiście nie chcąc narażać profesora na jakieś przykrości ze strony Siengalewicza, musiałem być bardzo ostrożny. To były najgorsze, końcowe chwile mojego pobytu w gimnazjum, gdyż Siengalewicz nie przestawał mi ciągle zarazem grozić, że mi matury nie da. Napisała więc Matka moja do mojego starszego brata, który wówczas był dyrektorem naczelnym Putiłowskich fabryk w Petersburgu, ażeby mnie wziął do siebie i ażebym w petersburskiem gimnazjum mógł skończyć i maturę otrzymać. Przez swojego kolegę w zarządzie, Dyrektora Banku Międzynarodowego w Petersburgu, p. Antoniego Laskiego, dobrze znającego ówczesnego wiceministra oświaty ks. Wołkońskiego, uzyskał obietnicę przyjęcia mnie do gimnazjum w Petersburgu przed wiosną w 1885 r.—na kilka miesięcy przed maturą. Poszło pismo z Ministerjum Oświaty (t. zw. *zapros*) do dyrektora Siengalewicza z zapytaniem o mnie. Wówczas Siengalewicz, trochę przestraszony tem pismem i zwróceniem stamtąd uwagi na mnie, zawezwał mnie do kancelarji i polecił mi napisać oświadczenie, że zamierzam skończyć gimnazjum tylko pod dyrektorem Siengalewiczem i nie chcę się do Petersburga przenosić. Powiedział mi pozatem: podpisz to, a będzie spokój, przytem zaraz się upewnił, że Matka napisze list do profesora Chałubińskiego, żeby znów go zechciał przyjąć i zakończył bardzo charakterystycznem powiedzeniem: *manus manum lavat*. Potem już się usposkoił—nie nękał mnie i ja nabyłem dopiero wtedy pewnej nadziei, że może mi się uda skończyć szkołę.

Ale i tu, przy samym prawie końcu o mało się nie rozbiłem o pewną nieprzewidzianą rafę. Na wiosnę (zdaje się w kwietniu 1885 r.), umarł czcigodny, przez wszystkich uwielbiany i kochany ks. biskup Wnorowski, (nawet przez Moskali — córki komenderującego generała w Lublinie, Wierowskie, jak mówiono, przeszły tajnie na katolicyzm z uwielbienia dla ks. biskupa). Ksiądz biskup był dawniej więźniem stanu — należał z moim Ojcem do t. zw. sprawy księdza Ściegiennego, którego przy amnestji wówczas zwolniono z wygnania na Syberji i pozwolono mu mieszkać w Lublinie. Biskup go przytulił i byt mu zabezpieczył. Dzięki tej wspólnej sprawie politycznej z moim ś. p. Ojcem, za którą przesiedział 3 lata w Cytadeli Warszawskiej i w twierdzy w Zamościu, miałem szczęście poznać ks. biskupa, który przypomniał mi te wspólne z Ojcem przeżycia.

---

[1]) Wyciąg wierzytelny z archiwum państwowego w Lublinie:

„Wiadomości o uczniach gimnazjum lubelskiego, którzy ukończyli pełny kurs nauk w r. 1885. (W dn. 15 listopada 1885 r.):

Nr. 13. Surzycki Stefan Jan Joachim (3 imion). W świadectwie dojrzałości notowany: sprawowanie dobre, aczkolwiek bardzo często zauważano co do niego uchylanie się od przepisów szkolnych i złe dążności.

Informacje co do abitujenta, wymagane według rozporządzenia Ministra Oświaty z 12 stycznia 1880 r. nr. 16:

Zdolności dobre, oddaje się nauce należycie. Pochodzi ze skrajnie fanatycznej polskiej rodziny. Zły sposób jego myślenia zmusił gimnazjum w r. 1884 do zabrania go z domu matki wdowy i do oddania go na stancję uczniowską w celu zarządzenia nad nim dozoru. Dążył, jako Polak, do wywierania wpływu na kolegów i skłonny jest do mrzonek. Okoliczność ta przyczyniała szkole niejednokrotnie niepokoju, jednakże nie było faktów wydatniejszych, któreby dały podstawę usunięcia go z zakładu. Naogół powinien być uznany za stanowczo szkodliwego i wymaga nieustannego śledzenia i on i towarzystwo, w którem się będzie obracał. (Podpis nieczytelny, zapewne Siengalewicz)".

Oczywiście, dla nas młodych ks. biskup, jako więzień stanu i męczennik za sprawę narodową, jak i dla wszystkich wogóle w Polsce, był osobistością najbardziej wówczas czczoną. To też śmierć Jego, na nagłe zapalenie płuc, zrobiła niezmierne wrażenie. Zarządzono ze strony miasta i obywatelstwa jaknajszersze przygotowania do najwspanialszego pogrzebu. Istotnie pogrzeb ten stał się jedną z największych, żywiołowych manifestacyj narodowych. Władze z racji wielkiego szacunku, jakim ks. biskup otaczany był przez generała Wierowskiego, nie tamowały zbytnio tego powszechnego uniesienia do oddania ostatniego hołdu. Siengalewicz jednak i tu chciał ograniczyć udział młodzieży szkolnej jaknajbardziej. Wolno nam było tylko iść w szeregach na pogrzeb, zabroniono złożyć wieńca, wysłać deputację z nim i występować z szeregów. Ponieważ postanowiono w Komitecie Obywatelskim pogrzebowym, że trumna ze zwłokami ma być niesiona przez obywatelstwo, księży i włościaństwo, więc i my, uczniacy z 8-ej klasy postanowiliśmy, wbrew zakazowi, i złożyć wieńce i wziąć udział w niesieniu trumny. Tak też zrobiliśmy. Gdy pochód pogrzebowy zakręcał z ulicy Krakowskie-Przedmieście na ulicę Cmentarną koło t. zw. „Kontrolnej Pałaty", wystąpiło nas sześciu z szeregów, przemknęło się do trumny i zanim prezydent Lublina, Woliński, który kierował porządkiem przy niesieniu trumny, spostrzegł się, 6 chłopców odebrało trumnę z rąk obywateli i kilkanaście kroków poniosło. Widział to Siengalewicz z balkonu w „Kontrolnej Pałacie". To też po pogrzebie wezwał nas do siebie, obrzucił wymyślaniem za to postąpienie, mówiąc: „*Wamby sliedowało za to uszy obodrat*" i jeszcze raz zagroził, że to odbije się przy maturze. Istotnie, dostałem ze sprawowania tylko 4 (dobry) na maturze, co mogło utrudnić mi przyjęcie na Uniwersytet. Ale to już były ostatnie podrygi złości Siengalewicza. Z końcem czerwca 1885 r. większość nas (oprócz kilku) matury otrzymało. Jakaż to była ulga, gdyśmy ten papier posiedli: po raz pierwszy poczuliśmy się ludźmi swobodnymi od terroru i nacisku! Zawziętość nasza na Siengalewicza była tak wielka, że żaden z nas, jak to było we zwyczaju, nie poszedł z pożegnaniem i czuliśmy niezmierną satysfakcję, gdy, spotykając się potem z nim na ulicy, nie potrzebowaliśmy kłaniać mu się, co bardzo odczuł, mówiąc do młodych, pozostałych jeszcze w szkole: „*ot idiet takaja swinja w chałatie i nie kłaniajetsia*".

Ten koszmar ciemiężenia długo jeszcze ciążył w umysłach naszych. Każdy później w Uniwersytecie przyznawał się, że nie prędko uwolni się od myśli, iż nie potrzeba już iść do szkoły z trwogą, co tam spotkać moze od Siengalewicza.

## 11. LOSY SIENGALEWICZA, PRZEDSTAWICIELA SYSTEMU WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO I KONIEC SYSTEMU.

Jakież były dalsze losy Siengalewicza, jako przedstawiciela tego systemu wychowania państwowego?

Po wyjściu naszem z gimnazjum jeszcze szereg lat pracował Siengalewicz w Lublinie, coraz bardziej nienawidzony nie tylko przez młodzież i starsze społeczeństwo polskie, ale nawet i przez Rosjan, którym, o ile zauważył u nich objawy „buntu", dawał się też mocno we znaki. Podobno jego wymagania opłacania się były coraz większe i bezczelniejsze, to też niepodobna go już było, zwłaszcza po ustąpieniu Apuchtina ze stanowiska kuratora okręgu naukowego warszawskiego, głównego jego protektora, utrzymać na stanowisku dyrektora gimnazjum. Został więc przeniesiony na przeszło dziesięć lat przed wojną na stanowisko cenzora w Warszawie, gdzie również odznaczył się wielką dokuczliwością i tępieniem buntowniczego ducha przeciw ówczesnemu systemowi rządowemu, podobno i tutaj można było także trafić do niego i uzyskać ulgi w cenzurowaniu. Znając doskonale język polski i dążenia społeczeństwa, mógł często daleko lepiej, niż rdzenni Rosjanie, wczuwać się w sens i intencję autorów i niemiłosiernie kreślił wszelkie podejrzane o antyrządową myśl artykuły pism lub ustępy w książkach. Tak już, starzec przeszło 80-letni, na emeryturze nareszcie dożywał swego wieku, gdy przyszła wojna światowa. W sierpniu 1915 r. ustąpiły władze rosyjskie. Wśród urzędników, którym polecono wraz z wojskiem opuścić Warszawę, zapomniano o nim, już emerycie. Zostawiono go, już starego, w dodatku chorego, niedołężnego. Wszyscy o nim zapomnieli i ci, którym służył, a nawet i ci, przeciw którym służył. Nagle w 1916 (czy 1917) ogłosił adwokat warszawski Cederbaum ciekawy artykuł o Siengalewiczu — o jego ostatnich chwilach, o jego ostatniem wyznaniu. Nie mogłem tego artykułu obecnie odszukać w bibljotece Jagiellońskiej, ani w warszawskiej; o ile sobie przypominam, było to pomieszczone albo w tygodniku „*Liberum Veto*", albo w „Myśli Niepodległej", albo w jakimś tygodniku-efemerydzie, które w dobie okupacyjnej w Warszawie wychodziły. Otóż pamiętam tylko treść tych wyznań prześmiertnych Siengalewicza: wyrażał najgłębszą skruchę za to, co przez całe swe życie popełnił, przeklinał rząd rosyjski, który go na tę drogę gnębienia młodzieży skierował, przyznawał, że nic nie osiągnął, jeno powszechną nienawiść i żadnej korzyści dla systemu, który się w oczach jego walił. Prosił na tem łożu śmierci o przebaczenie, on, sam siebie nazywając odstępcą, renegatem. Niezmiernie szkoda, że mi ten numer tego czasopisma, zawierający to przedśmiertne wyznanie i skruchę zaginął. Może kto z czytelników go przypomni i zechce ogłosić — tak znamienna była ta skarga człowieka, przez całe swe życie ślepego wykonawcę systemu „państwowego wychowania", a na łożu śmierci przeklinającego ten system.

Na zjeździe lubliniaków z okazji 50-letniego trwania gimnazjum lubelskiego, odbytym w czerwcu 1925 r. w Lublinie, oczywiście poddano cały ten system niegodny surowej analizie i krytyce. Pamiętam, że przypomniano tam wówczas nazwisko chorążego Krylenki, „gławnowiercha" armji bolszewickiej, b. wychowanka gimnazjum lubelskiego z ery Siengalewicza, a także i t. zw. towarzysza, bolszewika Mandelbauma, także z tej epoki — obu wychowańców rosyjskich, którzy mieli być słupem, podtrzymującym samodzierżawje rosyjskie, a stali się jego najzacieklejszymi grabarzami. Podobno ten Mandelbaum (syn kupca lubelskiego, bolszewik, jak podaje „Myśl Narodowa" w nr. 52 r. ub. za nr. 5 „Wstęgi") wrócił do Polski, przedzierzgnął się obecnie w Polaka prosanacyjnego, już o zmienionem nazwisku na Stefana Drzewieskiego, który jako pedagog polski jest teraz „pionierem wychowania państwowego". Takie zmiany są b. znamienne.

STEFAN SURZYCKI

# NA WIDOWNI

Urozmaicenie w życiu politycznem. — Gubienie prawdy w sprzecznościach.— Nauka oszczędności i oszczędność nauki.— Ilu nam potrzeba uczonych? — Sprawa elity.— Spółdzielnia z żydami.—Barokowy filar.—A gdzie prawda?

ŻYCIE w Polsce stało się dwoiste, jakby płynęło z dwu różnych źródeł. Właściwie życie płynie osobno, osobno zaś pomysły, z różnych stron nurt tego życia zaskakujące. Sztuczne zapory— chodzi właśnie o to, że sztuczne — dodają spokojnemu z natury biegowi spraw polskich niemało urozmaicenia, tworzą się tu zatory, tam zalewy, ówdzie wodogrzmoty. Zapewne, jest to malownicze, ale bardzo kosztowne i męczące tem, że nie daje się sensownie wytłumaczyć.

Rozmaite bywają dwoistości w życiu. Są sprzeczności, stanowiące wogóle tajemnicę bytu i daremnieby się kto kusił o ich uzgodnienie. W stosunkach społecznych trafia się sprzeczność między dążeniami, z jednej strony płynącemi z instynktów w zgodzie z t. zw. prawem natury czy historji, a z drugiej — z dążeniami, nakazanemi przez doktrynę (weźmy dwoistość np. światopoglądów i programów nacjonalizmu i marksizmu); ale w tem naszem wydarzeniu dziejowem podstawa podziału jest ruchoma, jak w hecy. I to na dłuższy dystans może się historji sprzykrzeć.

Weźmy parę przykładów.

Ogół społeczeństwa nie ma najmniejszej ochoty do tego, co w Rzymie nazywano *circenses*. Tymczasem wystawnych uroczystości jest tyle, że dzienniki nie mogą nadążyć z notowaniem inicjatywy i podawaniem sprawozdań. Dodatki ilustrowane w prasie codziennej całe zapełnione są widokami zebrań, zjazdów, zlotów, obchodów z reprezentacją państwa. Nie było już miejsca na ilustrowanie widowisk dorocznych takich, jak Dożynki. A przecież zgromadziły one w Spale 25.000 osób w barwnych kostjumach, osób sprowadzonych ze wszystkich okolic rozległej Polski.Oto teraz dzienniki krakowskie zapowiadają z okazji rocznicy odsieczy Wiedeńskiej wielkie święto w Krakowie z udziałem 12 pułków kawalerji. Zgromadzi ono na błoniach krakowskich, jak obliczają, 45.000 ludzi. Są uroczystości ogólnokrajowe, są też regjonalne. Teraz w Wilnie była uroczystość przeniesienia szczątków królewskich z grobów katedry, był też jakiś zjazd kresowy legjonistów.

Publicysta musi się wytłumaczyć z opieszałości, że nie zdoła uwzględnić i ocenić wszystkich hołdów i wjazdów triumfalnych. Tłumaczy go właśnie ta podwójność łożysk życia. Przeszkadza mu ten nurt, który nanosi góry trosk i zagadnień. Zmieniają się czasy, atmosfera naładowana jest zapowiedziami nowych stosunków. Czytajcie ogłaszaną teraz w „Gazecie Warszawskiej", „Kurjerze Poznańskiem" i „Kurjerze Lwowskim" serję artykułów Romana Dmowskiego.

Pisarz ten, będący sumieniem intelektualnem Polski, reprezentuje społeczeństwo, które tworząc, pracując i biedując, nie ma czasu i ochoty na *circenses*. Onże nie będzie miał prawa wziąć udziału w wyborach do przyszłego senatu, jeśli projekt reformy konstytucji pp. Sławka, Cara i Mękarskiego wejdzie w życie. Dmowski bowiem nie posiada orderu Niepodległości. Według opinji obozu, który przeprowadza reformę, nie ma on zresztą żadnych moralnych tytułów zasługi w walce o niepodległość Polski [1])...

Któż odgadnie, jakie w Polsce panują kryterja wartościowania?...

Weźmy życie naukowe. Jakże trudno w tej gospodarce się orjentować! Mieliśmy wspaniały w Warszawie międzynarodowy kongres historyków, który chlubnie zaświadczył przed światem o pracy naukowej naszych katedr historycznych. Wielki zaznaczył się postęp w badaniach polskich, skierowały się one bowiem w tak trudne dziedziny, jak rozwój kultury rodzimej i związków jej z cywilizacją Zachodu. Ale oto wchodzi w grę inny system wartościowania. Jeszcze nie wszyscy uczestnicy kongresu zdołali wyjechać z Polski, kiedy dzienniki ogłaszają, że cały szereg badaczy tych dziedzin humanistyki ma być usunięty z uniwersytetów, jako zbyt kosztowny. Więc prof. Kot, Bystroń—właśnie po wydaniu tylu cennych dzieł.

Jakże odmienne są w swej dwoistości kalkulacje oszczędnościowe! Jedna strona mówi: Czasy są zbyt kryzysowe, aby utrzymywać tyle katedr. A druga powiada tak: Gdyby skasować 40 katedr, uczyni to oszczędności około pół miljona rocznie. Ale z tego trzeba będzie przynajmniej ćwierć miljona rocznie wypłacać usuniętym uczonym w postaci emerytury. Co to znaczy? Wystawiono gmach bankowy, którego budowa pochłonęła podobno 40 mil. Gmach ten okazał się zbyteczny, w czasie bowiem kryzysu nie ma co robić, a to mogło z powodzeniem odbywać się w starym lokalu. Ćwierć miljona mieści się w 40 miljonach 160 razy. A więc tyleż lat (160) za te pieniądze pracowałyby owe katedry. A czyż nie można w ciągu 10 lat drugie tyle oszczędzić na świętowaniach?

Dwoistość prądów w sprawie nauki wywołuje nieporozumienia, w których świetle bardzo groteskowo wygląda dyletantyzm. Najpoważniejszym rzecznikiem interesów społeczeństwa (cywilizacji polskiej) w dziedzinie nauki jest grono uczonych, skupiających się w wydawnictwie Kasy im. Mianowskiego p. t. „Nauka polska". Podtytuł tego wydawnictwa brzmi: „jej potrzeby, organizacja i rozwój". Znam 15 tomów tej cennej publikacji. W tomie XIV prof. Czesław Łapiński ogłosił gruntowne studjum statystyczne p. t. „Katedry i siły naukowe profesorskie w państwowych uczelniach akademickich w Polsce". W pracy tej, obejmującej 70 dużych stron, doszedł do ciekawych wyników, którym dotąd nikt nie zaprzeczył.

W uczelniach tych pracuje na katedrach ogółem 772 profesorów, poza tem 50 katedr wakuje. Jako materjał na przyszłych profesorów pracuje ponadto 268 docentów. Autor oblicza skrupulatnie, że do stanu normalnego brak naszym uczelniom minimalnie jeszcze 100 nowych katedr, a więc 100 kandydatów na profesorów. Żeby się zrównać ze skalą uczelni na zachodzie Europy, liczbę tę należałoby potroić. Jeżeli do tej cyfry dodamy 50 katedr obecnie wakujących, dalej 46 katedr obsadzonych dzisiaj przez profesorów, dobiegających kresu 65 lat, okaże się potrzeba 196 kandydatów, mianonowicie w dziale nauk matem.-przyrodniczych 41, technicznych 17, medycznych 34, rolniczych 32,

[1]) Mówiąc nawiasem, bardzo mi się podobała przytoczona w „Kurjerze Warsz." anegdota o Katonie. Gdy wyrażano przed nim ubolewanie, że mniej godnym stawiają posągi, a on go dotąd nie ma, Katon miał odrzec: wolę, żeby się dziwiono, iż nie mam posągu, niż gdyby ludzie się dziwili, za co go dostałem.

humanistycznych 45, prawniczych i ekonomiczno-społecznych 24, teologicznych 2, sztuki 1.

Nie koniec na tem. Według rachunku prawdopodobieństwa wypada, że na 726 pracowników rocznie ubywa wskutek śmierci 15. Tyluż kandydatów rocznie trzeba dodać do powyższej cyfry. Gdyby zaspokojenie tych potrzeb rozłożyć na dziesięciolecie, to w latach 1931—32 należałoby mieć pod ręką rocznie 57 uczonych nowych, a w następnem pięcioleciu rocznie po 39, ogółem 480 kandydatów nowych. Ponieważ nie każdy z młodych kandydatów okaże się odpowiedni na katedrę, więc liczba młodych pracowników musi być podwojona, zatem potrzebny jest w Polsce na najbliższe lata oprócz istniejących (268) docentów—narybek około 1 tysiąca.

To dla samych szkół państwowych. Poza niemi jednak są inne placówki: szkoły wyższe niepaństwowe (od r. 1931, kiedy pisano tę rozprawę, nastąpiły tu zmiany, przybyło szkół państwowych), instytucje naukowe, zawody wolne. Prof. Łapiński, dodając te potrzeby, dochodzi do wniosku, że Polska produkować musi rocznie 130 uczonych.

Dlaczego wypisuję te dane? Dlatego, że wobec ogłoszonych w prasie wiadomości o zamiarze skasowania szeregu katedr i profesorów, mających duże zasługi naukowe, nastąpiła w szeregach młodych pracowników naukowych konsternacja. Czy warto pracować? A bardzo pokaźnie zapowiadał się napływ nowych uczonych. Gdzież ich szukać, jak nie w szeregach patrjotów, którym się pali w głowie ideał wielkiej cywilizacji narodowej? Niewielu znajdziemy w obozie sanacyjnym, gdzie każdy ma zapewnioną posadę lukratywniejszą, niż docentura.

Ni stąd ni zowąd mamy w Polsce dwa sprzeczne dążenia w zadaniu, zdawałoby się, bezspornem. Kultura umysłowa jest nizka, trzeba społeczeństwo dźwignąć, wytworzyć silną „elitę“, a więc uzupełniać katedry według minimalnych potrzeb... Tymczasem robi się coś odwrotnego.

Bo i z tą elitą... Słyszymy, że system ma być „elitarny“. System demokratyczny się zużył, teraz będzie hierarchiczna budowa; już są projekty odpowiednich zmian w konstytucji. Dobrze—system, ale system dotyczy nie tylko ustroju politycznego, przeniknąć musi wskroś całą budowę społeczeństwa, cały aparat cywilizacji, więc i szkoły. Tymczasem zdarzyła się nam ni stąd ni zowąd reforma szkolna odwrotna, bo w kierunku egalitarnym, nie zaś elitarnym. Potrzebna jest, zdawało się, elita intelektualna, a więc na gwałt zapędzać do pracy naukowej, nie hamować jej, zostawić swobodę katedrom, wypuszczać corocznie owych 130 adeptów nauki... Nic z tego, to nieporozumienie. Elitę wytworzyć można przez mianowanie, rozda się odpowiednie znaczki tym, którzy walczą z obozem narodowym.

W rezultacie, ktoby chciał szukać orjentacji w zasadach i systemach, ktoby chciał wszystkiego rozumem dochodzić, zabłąka się w Polsce dzisiejszej. Jeśli od mniejszych spraw zejdziemy do podstawowej kwestji, o co, w imię czego toczy się walka z obozem narodowym, to któż na to znajdzie odpowiedź między motywami, płynącemi z logiki interesów dobra publicznego? Początkowo motywowało się walkę tem, że jeden obóz dąży do ideału państwa narodowego, drugi zaś pragnąłby mieć państwo narodowościowe, rodzaj postępowej spółdzielni z odpowiedzialnością udziałami. Część udziałów miało się przepisać na Ukrainę, Białoruś, nawet na żydów. Życie tymczasem udaremniło te plany. Bo skoro Polska zawarła pakt z Rosją, to okreowaniu takich jednostek politycznych, jak Ukraina i Białoruś, nie może być mowy. Pozostali żydzi, oni to — śmiech powiedzieć — tę koncepcję narodowościową mają ratować? B. minister, p. Leon Wasilewski wydał teraz książkę: „Skład narodowościowy państw europejskich“, w której oblicza ludność żydowską w Polsce na niespełna $8^0/_0$. To ma być filar, trzymający sklepienie nad Polską? Taki filar barokowy, skręcony jak grajcarek?

Przyczyny więc tego dwojenia się opinji w Polsce nie leżą w naturze dziejów; są one zbyt sztuczne i trwać długo nie pozwoli im życie. Znane są różne style budowania: może być i barok, ale nawet przy baroku politycznym, fundamenty budowy muszą mieć przywilej — solidnego traktowania.

I wogóle — im więcej ktoś wytwarza w życiu sprzeczności, tem widoczniejsza staje się prawda, że komuś na prawdzie nie zależy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

# GŁOSY

RZECZY TRUDNE DO ZROZUMIENIA. Należyty rozdział dochodu społecznego jest podstawą równowagi w państwie. Silne naruszenie tej równowagi wywołuje zawsze niepożądane skutki natury gospodarczej albo społeczno-politycznej.

Ojciec Św. Pius XI wskazywał kilkakrotnie w swoich encyklikach na konieczność należytego podziału dochodów społecznych. Rzecz tę wspomniał również i prymas Polski, kardynał Hlond w swoim słynnym liście o chrześcijańskiej organizacji państwa.

Dysproporcja w rozdziale dochodu społecznego jest tembardziej drastyczna, gdy „góra“ korzysta z niewspółmiernie wielkiego udziału, podczas gdy „dół“ znajduje się w nędzy.

Ten drastycznie niesprawiedliwy rozdział dochodu społecznego odczuwa się najbardziej w tych krajach, gdzie do wielkich wpływów doszły kartele. Potęga karteli w Ameryce doprowadziła ostatecznie do tego, te miljonowe rzesze zostały pogrążone w nędzy. „Góra“, która zorganizowała przemysł systemem kartelowym, wysysa z ludności wszystkie soki życiodajne. Na mniejszą skalę, odpowiednio do terenu, powtarza się coś podobnego w Polsce, gdzie kartele się bardzo rozwinęły dopiero w okresie rządów „pomajowych“. Kiedyś, gdy będzie sposobność zajrzeć za kulisy rozwoju tych karteli w Polsce, dowiemy się niechybnie o rzeczach, o jakich się zazwyczaj czytuje w najfantastyczniejszych powieściach. Wskażmy choćby tylko słynny kartel drożdżowy, którego działalność przypomina amerykańskie trusty i kartele, stosujące metody piratów zarówno do producentów, jak i konsumentów. Albo kartel naftowy w Polsce, na którego czele stoi „Polmin“, państwowa fabryka przetworów ropnych. Rozpoczął z nim walkę przemysłowiec naftowy Dunca de Saja, ale został zniszczony materjalnie i złamany moralnie. Nie widząc dla siebie ratunku, odebrał sobie życie.

Kartel, to dyktatura ceny, której wysokość uzasadnia się kalkulacją i koniecznościami produkcji, sytuacją, i wieloma innemi frazesami.

Ale informacje, ogłoszone o pensjach dygnitarzy kartelowych, pozwalają mniemać, że zupełnie gdzieindziej trzeba szukać przyczyn tych „sztywnych cen" kartelowych, pod któremi ugina się rolnik, drobny i średni producent, robotnik, rzemieślnik, spożywca.

W kartelu cukrowym pensje dygnitarzy są następujące:

1) dyrektor cukrowni „Chodorów" pobiera rocznej pensji 174 tysiące złotych, nadto za rok ubiegły otrzymał 103 tysiące remuneracji.

2) dyrektor cukrowni „Przeworsk" otrzymuje 3 tysiące dolarów rocznej pensji, a tytułem remuneracji otrzymał za rok ubiegły 100.000 zł.

3) Z tejże cukrowni pobiera ks. Lubomirski 6000 miesięcznie tytułem emerytury.

4) W razie wyjazdu z miejsca zamieszkania dygnitarze kartelu cukrowego otrzymują 400 złotych djet dziennie.

Rozumiemy teraz, dlaczego, między innemi, płacimy drogo za cukier, podczas gdy rolnik za buraki otrzymuje grosze. Zrozumiałe jest także, dlaczego zostali wywłaszczeni drobni akcjonarjusze, którzy, umieszczając swoje niewielkie oszczędności w akcjach cukrowni, umożliwiali przez to inwestycje, a teraz mają jedynie bezwartościowe papierki.

Podobne rzeczy dzieją się w różnych kartelach. Zobaczmy, co zostało ujawnione jeszcze na Górnym Śląsku, gdzie panuje bezrobocie i nędza. Kopalnie są tam unieruchomiane, fabryki zamykane. Zastój zupełny w przemyśle węglowo-żelaznym, wśród robotników nędza. Ale uchylmy, choćby trochę, rąbka zasłony, co się dzieje u nas w Koncernie Śląskim np. Fricka, który jest i hitlerowcem i obywatelem Rzeszy. Otóż dyrektorzy Koncernu Fricka ogłosili, że ze względu na kryzys zrzekają się pensyj. Bardzo społecznie, patrjotycznie — zdawałoby się. Ale tylko zdawałoby się, bo rzeczywistość wygląda całkowicie inaczej. Rzeczywiście, dyrektorzy Koncernu Fricka pensyj nie brali. Otrzymywali natomiast djety za — fikcyjne podróże. I taka roczna likwidacja za podróże, których główny dyrektor nie odbywał, wynosiła dlań 800 tysięcy złotych. Inny dyrektor z tego samego koncernu za siedmiodniową podróż do Berlina, też fikcyjną, otrzymał 70 tysięcy złotych.

I to wtedy, gdy w kraju — nędza. Gdy na Śląsku zamyka się kopalnie i fabryki z powodu kryzysu! Rząd wydał dekret, ograniczający nadmierne pensje. Ale jest to, jak widać, dekret papierowy, bo kartele, które się zresztą niebywale rozrosły w kilku latach ostatnich, te kartele — są silniejsze. Cóż dziwnego zresztą! Pod tym względem rywalizują z niemi godnie przedsiębiorstwa państwowe i półpaństwowe.

Ale stan podobny jest przeciwny naturze rzeczy i świadczy o ciężkiej chorobie organizmu.

Z WIELKIEJ MOWY, którą na XVIII kongresie syońskim wygłosił prezes Egzekutywy syońskiej, p. Nachum Sokołow, dowiadujemy się, że syonizm, oprócz zdobycia dla żydów Palestyny, pragnie nadto zachować nadal dla nich i kraje rozproszenia. Tym sposobem żydzi nie tyle państwo własne i ojczyznę chcą mieć w Palestynie, ile wygodną i bezpieczną podstawę operacyjną, rodzaj pozycji wypadowej, z której w dalszym ciągu zarządzać chcą tłumami żydów, w różnych krajach osiadłych. P. Sokołow nie powiedział tego otwarcie, ale, zwyczajem żydowskim, — kręto i męto, w różnych osłonkach i napomknieniach, dla ogółu ludzkiego niewyraźnych, ale dla uwagi znawców przedmiotu — aż nadto przejrzystych. Inni przewódcy żydostwa także o tej podwójnej roli syonizmu nie zapominają.

Położenie tedy dla narodów, przez żydostwo nawiedzonych, wytwarza się następujące: dając wiarę temu, że syonizm ma tylko jeden cel — przesiedlenie ogółu żydów do Palestyny, narody ziemi życzliwie do syonizmu się odnoszą, a tu i ówdzie dążenia jego czynnie popierają, ale, nie znając drugiego celu syonizmu, celu ukrytego, życzliwością swoją i poparciem na własną szkodę działają, bo syonizm o celu podwójnym tylko umocni żydów w krajach rozproszenia i szkodliwość ich dla innych narodów powiększy. Żydzi żadnej sprawy bez oszustwa załatwiać nie umieją, ale sprawa żydowska jest trochę za duża na to, aby oszustwo mogło do jej rozwiązania dopomóc. Każdy naród będzie musiał sprawę żydowską sam w swoim domu załatwić, nie oglądając się ani na żydów, ani na Palestynę, — jak to uczynili Niemcy. Wtedy dopiero wyjdzie na jaw, że to duże oszustwo żydowskie ostrzem swojem przeciwko żydom obracać się zacznie.

Pozatem, niewiadomo jeszcze, co o Palestynie postanowią — Arabi...

LEJĄCY OD KILKU DNI DESZCZ stał się nieszczęściem żywiołowem dla ideologji—Akademickiej Młodzieży Mocarstwowej. Mała ta grupka największy ma prawdopodobnie ze wszystkich organizacyj studenckich budżet reklamy. Przed paru dniami na wszystkich rogach ulic rozlepiła swoje plakaty-obwieszczenia, jakby wśród przechodniów nie było nikogo oprócz akademików, do których się niby zwracano. Deszcz zmył w krótkim czasie odezwy tak doszczętnie, że żadnego egzemplarza na mieście znaleść już nie mogliśmy i zmuszeni będziemy cytować z pamięci. Rzecz warta jest uwagi tylko z tego powodu, że użyte przez grupkę metody komercyjno-reklamowe odbiegają zupełnie od zwyczajów, dawniej przyjętych przez organizacje ideowe na wyższych uczelniach. Odezwa w istocie niczem nie różniła się od handlowego ogłoszenia. Niezmiernie to typowe dla metod propagandy politycznej dzisiejszego *régime*'u wogóle. „Każdy student wstępuje do organizacji Młodzieży Mocarstwowej" — oznajmiała odezwa, mniejwięcej temi samemi słowami. Brzmi to jak informacja; każdy wstępuje. W rzeczywistości jest tylko zachętą do wstępowania, wypowiedzianą „handlowo", w formie zawiadomienia o powodzeniu organizacji. Każdy wstępuje do organizacji M. M., każdy kupuje tylko w firmie XYZ. W rzeczywistości nikt prawie nie wstępuje, nikt prawie nie kupuje... Czyżby w takich ogłoszeniach rozmijano się z prawdą? Nie! to tylko „zwyczajne" metody reklamy handlowej i politycznej — odpowiedzą autorzy ogłoszeń. Zwyczajne — objaśnijmy jednak — tylko w krajach o niskim poziomie etyki politycznej i kupieckiej. Takich ogłoszeń, jak: „Najpotężniejsze arcydzieło ekranu", „superfilm sezonu", „genjalny twór reżysera G." i t. d. — nie widuje się zupełnie np. w Anglji. U nas po dziś dzień jest to pospolity, niemal skromny sposób zwrócenia uwagi na nowy

obraz. Metody reklamy politycznej w obozie „sanacji" są pod tym względem całkowicie podobne do reklamy w branży kinematograficznej i równie tandetne. Ciągle mamy do czynienia z najpotężniejszem arcydziełem politycznem sezonu, zawsze reżyser jest genjalny, aktorzy zachwaleni nadmiernie... Zwykły to ton odezwań prasy urzędowej. Czemuż jednak na stałe pozostawać mamy krajem takiej tandety? Niemiło jest widzieć, kiedy młodzież, czy choć znikomo mała grupka młodzieży akademickiej naśladuje złe wzory starszych, zamiast iść za godniejszą tradycją organizacyj ideowych na uniwersytetach z przed lat dziesięciu. Charakterystyczne, niestety, dla działalności ludzi dzisiejszego *régime*'u na wszelkich polach jest zrywanie z dobrą polską tradycją, nawet w tych niewielkich dziedzinach polityki, gdzie tradycja taka wyrobiła się i istnieje. Coraz dalej od polskości — ku tandecie coraz gorszej. Wielka odezwa malutkiej grupy uprzytomniła przechodniom na ulicach Warszawy tę nieprzyjemną ewolucję, charakterystyczną dla wpływów *regime*'u. Tak się pomyślnie złożyło, że, dzięki deszczowi, wrzaskliwi mocarstwowcy ustąpili z widoku publicznego — jak zmyci. Ale zagadnienie złych tendencyj zostało.

# DMOWSKI O „ELICIE"

Co to jest „elita", o której teraz tyle się mówi, jako system rządzenia? Treściwy, ale niezmiernie głęboki wykład pojęcia „elity" daje Roman Dmowski w rozprawie, ogłaszanej teraz w prasie narodowej pt. „Przewrót światowy i ewolucja polityczna Polski". Odpowiedni ustęp przytaczamy za „Gazetą Warszawską" (nr. 281):

W GRUNCIE rzeczy wszystkie systemy rządzenia, jakie istniały kiedykolwiek, sprowadzają się do rządów oligarchji. W despotjach rządziła oligarchja doradców despoty, w demokracjach — doradców ludu. Upadający dziś system rządów parlamentarnych, demokratycznych — to także rządy oligarchji, w części jawnej, reprezentowanej przez sfery finansowe i związane z niemi zawodowe polityczne, przeważnie zaś tajnej, zorganizowanej w lożach. Rewolucja narodowa nie obala rządów ludowych, bo lud nie rządzi i nie ma nawet istotnego wpływu na rządy. Obala ona przedewszystkiem rządy aferzystów, którzy kierują sprawami państwowemi w interesie swoich przedsięwzięć, żydów i tych, którzy im służą z tych, czy innych względów. Dążąc do rządów, sprawowanych przez kierownicze żywioły narodu, rozumie ona przez nie rządy dla dobra narodu, jako całości, a więc zapewniające masom ludowym o wiele większe zrozumienie ich potrzeb i o wiele silniejsze pragnienie ich zaspokojenia, niż jakiekolwiek inne rządy.

Wywieszenie wszakże hasła elity rządzącej świadczy tylko o tem, że rewolucja narodowa poszukuje sposobu oddania rządów w ręce narodowej oligarchji, nie zaś o tem, żeby ten sposób znalazła. Znalezienie, go to największe i najtrudniejsze z zadań politycznych jutrzejszej doby.

Wszystkie elity, wszystkie oligarchje, które kiedykolwiek rządziły, prędzej czy później wyrodniały. Zaczynało się zwykle od tego, że brały one na siebie wielkie obowiązki, do których spełnienia potrzebne były wielkie zalety istotne, wyższość nad resztą ludności. Przywilej rządzenia okupywały one wysiłkami, do których inne żywioły nie były zdolne. Z czasem wszakże ich własna zdolność do wysiłków malała, ich obowiązki się zmniejszały, a natomist rosły ich przywileje i rosły ich apetyty na niezasłużone korzyści. By nie szukać przykładów w odleglejszej przeszłości, można wskazać na oligarchję upadającego dziś ustroju.

Rewolucja XVIII i XIX wieku doprowadziła do władzy bogate mieszczaństwo i związaną z niem warstwę oświeconą. Ta nowa elita rządząca wydała mnóstwo ludzi wybitnych umysłem i energją — była ona naprawdę mózgiem Europy. Jakże się ta sprawa dziś przedstawia? Brak wybitnych ludzi na wszystkich prawie polach, brak zarówno wielkich energij jak wielkich umysłów, niezdolność do większego czynu i do wzięcia zań odpowiedzialności, niezdolność nawet do zrozumienia doby obecnej, a przy tem wszystkiem — chciwość, ślepa żądza zysków, ogólny pociąg do grabieży, byle tak czy inaczej zamaskowanej i nie narażającej na niebezpieczeństwo. Egzaminem, który ta elita świeżo zdała ze swych kwalifikacyj, jest światowa konferencja gospodarcza w Londynie.

Myśląc dziś o rządzącej elicie, trzeba myśleć o czterech naraz rzeczach:

popierwsze, o tem, kto ma tę elitę tworzyć — powiedzenie, że mają ją tworzyć kierownicze żywioły narodu jest zbyt nieokreślone;

powtóre, jak zabezpieczyć prawnie rolę elity;

potrzecie, w jaki zakres praw ją uposażyć, wreszcie

poczwarte, jakim zakresem obowiązków ją obarczyć. Bo elitą naprawdę może być tylko sfera, posiadająca o wiele większe obowiązki od reszty ludności, zmuszona do większych od niej wysiłków, a tem samem do posiadania wyższych zdolności i większej energji politycznej, obowiązana do postępowania nietylko w życiu publicznem, ale i prywatnem, wymagającego o wiele większego, niż przeciętne, panowania nad słabościami i niższemi instyktami natury ludzkiej. Jeżeli rządząca elita nie będzie obarczona obowiązkami, okupującemi jej prawa, będzie ona środowiskiem, przyciągającem i skupiającem wszelką sprytną lichotę. W krótkim czasie stanie się ona nieznośnym ciężarem dla narodu i najniebezpieczniejszym punktem organizacji państwa. Niewiele czasu upłynie od jej uznania i powierzenia jej władzy do przewrotu, który ją od tej władzy odpędzi.

Przyszłość polityczna narodów europejskich zeleży nietylko od tego, czy będą one zdolne wytworzyś silną oligarchję, ale także, i to przedewszystkiem od tego, czy będą umiały zabezpieczyć ją od rychłego zwyrodnienia. Na to zaś trzeba, żeby prawa tej oligarchji były zrównoważone dużemi obowiązkami i żeby te obowiązki nie mogły szybko stopnieć, a na ich miejsce żeby nie pozostały tylko niezasłużone przywileje i płynące z nich z krzywdą dla całego narodu korzyści.

Jeżeli narody Europy nie będą umiały tego zagadnienia pomyślnie rozwiązać, to może się okazać, że słuszność mają ci pisarze, którzy przepowiadają rychły koniec cywilizacji europejskiej.

ROMAN DMOWSKI

# NAUKA I LITERATURA

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W nader pożytecznej i szeroko rozpowszechnionej bibljotece ilustrowanej dla dzieci i młodzieży p. t. „Książki różowe i błękitne“ ukazało się obecnie opowiadanie o Janie Kasprowiczu. Książka nosi tytuł „Syn Kujaw“, a napisała ją p. Anna Pohoska (siostra żony Kasprowicza, późniejszej Przybyszewskiej).

Był to szczęśliwy pomysł zajęcia uwagi starszych chłopców nadzwyczajną historją ubogiego dziecka wiejskiego, które cywilizacja polska tajemniczą siłą oddziaływań wydobyła na swoje najwyższe szczyty. Autorka opowiedziała dzieje lat dziecinnych Kasprowicza w sposób beletrystyczny, pociągający wyobraźnię młodocianą. Treść opowiadania dobyła z istniejących już monografij, z materjałów, ogłoszonych niedawno przez p. W. Brzeską, wreszcie z opowiadań rodziny, bezpośrednio spisanych. Materjał ten zręcznie połączyła z tekstem poematu „Wojciech Skiba“, który, jak wiadomo, zawiera wiele elementów autobiograficznych. Całość wypadła bardzo zajmująco i zdolna jest wzruszyć do głębi młodego czytelnika. Książkę zdobi portret poety w wieku młodzieńczym.

Dodać należy dla informacji, że bibljoteczka różowa i błękitna wychodzi w Warszawie (Bagatela 13). Książeczki różowe są przeznaczone dla młodego wieku (2 książki na miesiąc, w prenumeracie zł. 1.90 miesięcznie); błękitne dla starszych dzieci (2 książki, kosztują to samo).

*

Dr. Stanisław Pazurkiewicz, badacz twórczości Goszczyńskiego, jeden z niewielu polskich pisarzy, władający językiem węgierskim, wydał studjum historyczno-krytyczne pt. „Współczesna literatura węgierska“ (nakładem Wydaw. współczesnego w Warszawie), W krótkiej (50 str.) książce autor opisuje życie i dzieła pisarzy węgierskich. Charakterystyczną cechą tej literatury jest jej stała zależność od warunków politycznych, uczuciowy stosunek do dziejów narodu. Był czas srogiego ucisku i absolutyzmu austrjackiego, więzień, cenzury i prześladowań, poczem, po rewolucji przyszła era rozwoju. Pisarze opiewają bohaterskie dzieje epok minionych, potęgę i sławę Węgier, piękno ziemi ojczystej i obyczaje ludu. Poematy epickie i liryczne, powieść, nowela, dramat w prymitywnej albo w wysubtelnionej, artystycznej i mistrzowskiej formie wyrażają swoistą kulturę. Powstają szkoły literackie. Wybitną wśród nich rolę grają przedstawiciele prądu turańskiego, który wziął sobie za zadanie ukazać prapierwotne, rdzenne z przed wieków cechy narodowego genjuszu.

Charakterystyki pisarzów i ich dzieł podaje autor w sposób zwięzły, lapidarny. Ukazuje rozmaitość artystycznych zainteresowań węgierskich pisarzy, zainteresowań zwróconych przeważnie ku zobrazowaniu rycerskiej przeszłości narodu. Utwory te nie traktują, jakby się mogło zdawać, wyłącznie tematów historycznych, nie mniej jednak wyrastają z duszy narodu, prócz produkowanej na eksport, kosmopolitycznej, lekkiej literatury scenicznej.

U nas literatura węgierska prawie nie jest znana. Czytywano romantyczne powieści Maurycego Jokaya i kilka humorystycznych powieści Mikszatha i Herczega. To wszystko. A przecież, jak widać ze studjum St. Pazurkiewicza, poza tem wiele tam cennych wartości. Zmarły przedwcześnie A. Gawroński, znakomity lingwista, nadzwyczajnie cenił literaturę węgierską i kilkanaście utworów narodowego poety węgierskiego, Petöfiego, przełożył, a dr. Jerzy Pogonowski poświęcił pamięci poety wnikliwe studjum „Sandor Petöfi w Polsce“.

Z polskich dzieł sporo przełożono na język węgierski. Dzieła Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Szymańskiego, Reymonta i Tetmajera. Po wojnie znacznie to zainteresowanie osłabło. Przełożono „Pożogę“ Kossak-Szczuckiej, kilka nowel Rodziewiczówny, Kaden-Bandrowskiego i Ligockiego. Ciekawa rzecz, że badania wzajemnych wpływów literackich podjęto nie w Polsce czy na Węgrzech, ale w naukowych kołach postronnych, we Włoszech. Wł ch p. L. Salvini, badacz poezji ludowej słowiańskiej, rumuńskiej i węgierskiej, stwierdził od XVI-go wieku wpływ tekstów i melodyj naszych na ludową literaturę węgierską. W studjum, wydanem przez towarzystwo włosko-polskie w Rzymie, jako pierwszy tomik „bibljoteczki polskiej“, pod tytułem „*La Polonia nei canti popolari magiari*“, przypomniał echa naszych dumek, pieśni węgierskie o Władysławie Warneńczyku, pieśni wygnańców z Węgier, emigrantów i żołnierzy. Praca ta, szkic naukowy, wskazuje kierunek dalszych poszukiwań i badań. (A. W.)

# FILM

„CASINO“: „Nowoczesny Robinson“
Film odpowiedni dla młodzieży i zapewne z myślą o niej robiony.

Młody i trochę znudzony dżentelmen zapragnął zabawić się w Robinsona, na jednej z wysp Mórz Południowych. Założył się z przyjaciółmi, że wytrzyma bez cywilizacji i sam sobie wszystko potrafi zrobić. No i żyje na wyspie i urządza gospodarstwo, majstruje statki i narzędzia. Jego praca ma wszelkie pozory fikcji, nie o to idzie: pomysły urządzeń są fantastyczne, ale b. dowcipne, przypominają potrosze wynalazki ludzików i zwierzątek z filmów rysunkowych. Tylko bujdę walki z tubylcami niepotrzebnie doczepiono; oczywiście Europejczyk zawsze będzie przemyślniejszy i zawsze potrafi nabić dzikusa w butelkę.

Fabuły niema i nie miał też wiele roboty reżyser.

„STYLOWY“: „Jaką mnie pragniesz“, według Pirandella, reż. Fitzmaurice.

Teatralność nad tym filmem zaciążyła, zaś ekran nie umiał sobie z nią poradzić. Rzecz cała niemal we wnętrzach i rozgrywa się djalogami. O wszystkich powikłaniach sytuacyjnych dowiadujemy się z rozmowy, co naturalnie filmowo żadnego efektu nie daje. Subtelności psychologiczne przepadają.

Rola Grety Garbo, nie schodzącej prawie z ekranu, dawała jej wielkie pole do popisu. Inteligentna artystka opracowała postać Marji starannie i drobiazgowo, jak zwykle, i trudno odmówić jej kreacji sensu artystycznego. Jednak była to postać denerwująca, bo przez naskórek wybuchów impulsywnych Marji-Garbo czuło się chłód.

KANDYD

# ZMARLI

## Ś. P. STANISŁAW KOŚMIŃSKI

ZE LWOWA nadeszła wiadomość o śmierci śp. Stanisława Kośmińskiego. Notujemy tę wiadomość, aby pozostał ślad po zaginionym człowieku historycznym a poza tem, by ulżyć sercu przez wyrażenie żalu po stracie przyjaciela.

Jako młodzieniec, jeszcze studjujący na uniwersytecie warszawskim, brał żywy udział w młodym ruchu patrjotycznym w szeregach Związku Młodzieży polskiej (Zetu), założonego przez Z. Balickiego w r. 1887. Braćmi jego stryjecznymi byli Antoni, jeden z założycieli Związku i znany w swoim czasie poeta Paweł Kośmiński.

Śp. Stanisław Kośmiński wszedł w ścisłe stosunki z Janem Popławskim i przez niego zaprawiony do pracy konspiracyjnej odgrywał przez szereg lat jedną z najczynniejszych ról w pracach organizacyjnych Ligi Narodowej. Było to w latach 1890 — 1894. Nie mówiło się o nim inaczej, jak „biskup“, które to zawołanie przylgnęło do niego jeszcze z czasów uniwersyteckich. Gorąco oddany idei, odważny i sumienny w wykonywaniu obowiązków oddał cały czas i wszystkie swoje siły pracy organizacyjnej, politycznej i oświatowej. Poświęcił dla niej plany osobiste, rezygnując z dalszego kształcenia się i z myśli o zabezpieczeniu sobie bytu. Losem jego stała się bezimienność, nawet bezosobistość, wtarł się całkowicie w życie grupy, biorąc na siebie najcięższe prace łącznika organizacyjnego. A robił to wszystko na wesoło, z optymizmem i wiarą, co sprawiało, że był nie tylko urzędem, lecz łącznikiem moralnym i towarzyskim, przez wszystkich kochanym.

W r. 1894, kiedy środowisko „Głosu“ uległo rozbiciu, Kośmiński po odsiedzeniu cytadeli, uszedł za kordon. Kilka lat przebywał w Genewie, gdzie przy boku Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) redagował „Wolne Słowo polskie“, poczem osiadł we Lwowie. Tutaj w dalszym ciągu do r. 1905 oddawał niemałe usługi w rozpowszechnianiu „Przeglądu Wszech-

polskiego", pracując poza tem na chleb w instytucjach prywatnych.

Niedopisywały mu coraz bardziej siły nerwów zniszczonych. Z coraz większym trudem, w niestałej równowadze zdrowia, utrzymywał się dotąd przy życiu, coraz bardziej oddalając się od świata. Zmarł zagubiony, ale nie zapomniany. Ci, co szli naprzód, często myśleli o nim, zawsze z miłością i pamięć o nim przekażą w dobrej tradycji.

Z. W.

## W ROZMÓWNICY

Z powodu wyjaśnień, udzielonych przez p. Michała Pawlikowskiego (nr. 38 „Myśli Narodowej") w sprawie dokumentów w bibljotece Medyckiej, na które powoływał się Boy-Żeleński, zabrał teraz głos na łamach „Opinji" żydowskiej (nr. 32) p. Roman Brandstaetter. Żydowski ten pisarz nawarzył współwyznawcom piwa, wydając chełpliwą pracę o „Legjonie żydowskim Mickiewicza", w której poruszył w tendencyjny sposób sprawę przyczyn śmierci poety. Stojący na usługach żydów Boy-Żeleński w żydowskich „Wiadomościach Literackich" pochwycił tę sposobność, aby wysunąć dwie tezy: 1) że przyczyną śmierci było otrucie, 2) że otruto Mickiewicza z polecenia Polaka, gen. Wł. Zamoyskiego. Nic to Boya nie kosztowało, bo: 1) otrucie to sensacja, a 2) do szyku dotąd należało znieważać Polskę.

W dyskusji na ten temat, która wywiązać się musiała, minęły bowiem już czasy, kiedy znieważanie imienia polskiego uchodziło płazem, — wyjaśniło się parę rzeczy. Nigdy dotąd nie dochodzono tak skrupulatnie, co było przyczyną śmierci poety. Z dokumentów teraz zestawionych wynika prawdopodobieństwo otrucia. Powtóre, stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Polacy tego dopuścić się nie mogli. Wtedy „Myśl Narodowa" (i obecnie Pawlikowski) zwróciła uwagę żydom: wara od rzucania oskarżeń, wara od Mickiewicza. Jeżeli istotnie został otruty, to patrzcie na dokumenty— tylko żydzi mogli to uczynić!

Tyle tylko. Zrobił się straszny harmider wśród żydów. Na domiar prasa żydowska wyraziła swoją solidarność z Boyem. Wobec dobytych dokumentów ciemne publicysty wpadły w szał złości. Nie ma wyjścia. Cóż tedy robi Brandstaetter, sprawca całego zamętu?

Oto teraz w „Opinji" podwójnym atakiem rzuca się na prasę żydowską za ową solidarność z Boyem i na samego Boya, który hecę wywołał, z drugiej strony obrzuca obelgami „Myśl Narodową" i wytacza nowy argument, mający żydów salwować od zarzutu otrucia. Skądżeby żydzi mieli nastawać na życie Mickiewicza, skoro M i c k i e w i c z b y ł ż y d e m.

Nie mniej, ni więcej: Mickiewicz był frankistą. Dywersję taką obmyślił i pod adresem „Myśli Narodowej" wypalił bezceremonjalny żydek w tych słowach:

„Zresztę rozumiem Wasilewskiego: boli go przecież ten legjon żydowski Mickiewicza, boli go ż y d o w s k i e p o c h o d z e n i e w i e s z c z a, boli go miłość, jaką Adam Mickiewicz, syn frankistki, a mąż Celiny Szymanowskiej z frankistów, dźwigający w sobie kompleks żydowski w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu (ob. świetną pracę Dra L. Oberlaendera: „Kompleks żydowski A. Mickiewicza") — obdarzał żydów. Boli też zapewne Wasilewskiego fakt, że ten sam Mickiewicz, który nie poszedł do powstania 1830-go roku, umarł właśnie w Konstantynopolu, w chwili kiedy tworzył legjon żydowski. Wszak umarł na swoim posterunku, jak Byron. Nie na darmo przecież ongiś jakaś endecka (?) gazeta wileńska, nazwała poetę — reb Mickiewiczem. Miała rację. Widzę już oczyma duszy, jak endecki korporant pali na stosie sejmowe wydanie pism Mickiewicza. W każdym bowiem razie, z punktu widzenia hitlerowskiej teorji rasy, której tak bardzo ostatnio hołdują Wasilewski i „Myśl Narodowa" — reb Mickiewicz miał dużo na sumieniu".

Przytaczamy ten zuchwały wywód dla przykładu, do czego dochodzi w Polsce buta żydowska przy sprzyjającej im konjunkturze. Buta i głupie zapamiętanie, głupie, bo takie wystąpienia grubo obciążają rachunek żydów, jako całości.

Nie trzeba tutaj się poniżać do udowodniania p. Brandstaetterowi, że to, co mówi, jest nieprawdą. Polskie pochodzenie matki Mickiewicza jest udowodnione. Przyznały to niedawno nawet żydowskie „Wiadomości Literackie", ogłaszając dokumenty rodowodu. Dorabianie zaś teraz legendy nie jest argumentem przeciwko hypotezie o sprawcach otrucia, bo przecież wówczas otaczający go żydzi bajki p. Brandstaettera nie znali.

Należałoby raczej dowieść, że czynnikom, wpływowym w polityce żydowskiej, idea legjonu żydowskiego była na rękę.

## O F E N S Y W A

### TRZEBA PRZEMYŚLEĆ DO KOŃCA...

JEST teraz moda wśród publicystów, inklinujących jeżeli już nie ku komunizmowi, to w każdym razie ku nihilizmowi, cytować przy lada okazji to, co fantasta - filozof Nietzsche wypowiedział gdziekolwiek obelżywego o Niemczech i Niemcach, a co przygodnie pochlebnego i podchlebnego o... żydach. Warszawskie samouki „z domowem wykształceniem" zdają się nie wiedzieć nic o tem, że Nietzsche to był nietylko wielki filozof - myśliciel, historjozof, etyk, polemista, ale że to był także wielki pacjent, wielki chory, którego ponadto w ostatnich latach opętała żydowica petersburska, niejaka Lou - Andreas - Salome pół literatka (autorka opowieści „*Erotica*"), pół kurtyzana, pół agentka, wysłana dla kontrolowania szwajcarskich rewolucjonistów. Spóźnione amory podziałały na cudownego marzyciela wprost katastroficznie. I ta to przyjaźń z rosyjską emigrantką awanturnicą nie mogła nie wpłynąć także na antychrześcijańską, antyniemiecką i anty-Wagnerowską furję... Zarathustry. Pan Hulka Laskowski, który ostatnio specjalizuje się w t a k i m Nietzschem, mógłby raz zająć się i tym epizodem w jego życiorysie i wysnuć z tego odpowiednie wnioski; Heidelberczykowi, który 90% swej kultury zawdzięcza niemieckiemu studjum uniwersyteckiemu, nie wypada wyciągać z Nietzschego to tylko, co aktualnie, konjunkturalnie pożywne i przydatne. Powtarza on w tem zresztą metody i taktykę prasy niemieckiej z przed lat sześciu i siedmiu, która również z frenezją „*Schadenfreude*" wyławiała znów wszystkie obelżywości i epitety, jakie miotała na Polaków i polskość (często i z dużą racją) w erze chorobowej pewna wysoka osobistość, nawet fizycznie, z rysów twarzy, z czoła, z profilu łudząco do potomka Nieckich podobna. Równie zaś dobrze i równem prawem, jak się dziś z Nietzschego wyiskuje u nas wersety antygermańskie i projudejskie, możnaby przeciwstawić im duży z dzieł dobór cytat i maksym antysemickich, począwszy od tego wiersza...

„*Einstmals sank die Sybille trunken Weins.*
*Rom sank zur Hure und zur Hurenbude.*
*Selbst Gott war Jude...*

Prezentowanie więc imperjalistycznie - rozwydrzonemu żydostwu warszawskiemu jednego z głównych protagonistów aryjskiego renesansu jako entuzjastę *etos* semickiego kwalifikuje się jako grube nadużycie (*grober Unfug*). Inna rzecz, że Nietzsche, „odkryty" przez Brandesa (jak Shaw odkryty przez Trebitscha), miał do żydowskich pośredników i maklerów intelektualnych zawsze pewną słabość, pewne zboczenie, któremu dawał wyraz w takich powiedzonkach jak np.; „cóż za dobrodziejstwo spotkać żyda wśród Niemców". Krytyczny i sceptyczny atoli był zawsze (nawet w erze Lu - Andreas-Salome), a niebezpieczeństwo żydów jako rasy zachłannie imperjalistycznej właśnie on najtrafniej, przewidująco, jasnowidząco scharakteryzował już 40 lat temu w „*Jenseits vom Gut und Boese*":

„Ż y d z i s ą b e z w ą t p i e n i a n a j s i l n i e j s z ą n a j o d p o r n i e j s z ą i n a j c z y s t s z ą r a s ą, j a k a i s t n i e j e w E u r o p i e.

W najniepomyślniejszych okolicznościach (lepiej nawet, niż w pomyślnych) umieją poradzić sobie, dzięki jakimś cnotom, które dziś chętnie chcianoby napiętnować jako występki... Myśliciel, któremu przyszłość Europy leży na sumieniu, snując co do przyszłości jej plany, będzie się liczył z Ż y d a m i i S ł o w i a n a m i, j a k o z n a j p e w n i e j s z e m i i w n a j b l i ż s z y m c z a s i e n a j p r a w d o p o d o b n i e j s z e m i c z y n n i k a m i w wielkiej grze oraz zmaganiu się sił...".

* * *

Jednym z całkiem świadomych imperjalistów semickich wśród tak zwanych „Ostjudów" jest po polsku piszący historyk, dr. Mateusz Mieses. Intelekt tego spokojnego zresztą człowieka przepajała Nietzscheańska „*Wille zur Macht*", marzenie o podbiciu całej ludzkości pod władztwo moralne Izraela, sen o bezgranicznej i wieczystej potędze. Odważnie ale dyskretnie przebija się ten e k s p a n s j o n i z m z każdej pracy, z każdego artykułu dr. Miesesa. Według jego biegu myślowego judaizm wcześniej czy później rozszerzy się na całą ludzkość i nie może i nie powinien zostać tylko wiarą i monopolem Semitów. Niedawno dr. Mateusz Mieses pisał:

„Judaizm jako religja o charakterze kosmicznym, o światopoglądzie syntetycznym, ogarniającym cały wszechbyt pod jeden wspólny mianownik, nie ograniczał się

w starożytności do ludzi jednego narodu, nie zamykał się w ramach solipsystycznych jednego społeczeństwa, jednego skupienia językowego, lecz parł w dal i odznaczał się wielką mocą propagandystyczną, dużem napięciem ekspansywnem. Prorokom od Jezajasza (2,3) do Zacharjasza (8,23) i Cefanjasza (3,9) przyświecała jutrzenna nadzieja, że nadejdzie kiedyś jeszcze ta świetlana chwila, gdy „wiele narodów powie: chodźcie do góry Bożej, do domu Boga Jakóba". I stary rabinizm nauczał: „gdy się Bóg objawił na Synaju, nie ukazał się on tylko Izraelitom. Bóg zaproponował torę wszystkim ludziom i językom" i „Biblja nie została Hebrejom daną w Palestynie, gdyż w takim razie powiedziałyby narody świata: nie mamy w niej udziału. Biblja została proklamowaną wolno publicznie w pustyni; kto chce może ją przyjąć".

* * *

Pytanie teraz, czy Polacy, po dłuższem „wychowaniu państwowem", w rezultacie pełnego procesu asymilacyjnego z trzema miljonami żydów, byliby też skłonni do judaizacji i do przejścia na pewien, może zreformowany Mozaizm? Sądząc po dzisiejszem napięciu prosemityzmu w Polsce, odpowiedź musiałaby brzmieć: tak! możliwe! Precedensy bowiem liczne były i bywały. I w całej Słowiańszczyźnie. I nie tylko w zamierzchłej przeszłości. Grasował Mozaizm w XII-tym wieku. W XV-tym bywali t. z. Sobotnicy, święcący szabas i uznający cały rytuał żydowski. Wśród Arjan istniało całe skrzydło zżydziałej szlachty. Na judaizm przeszedł jeden Lubomirski (Marcin) i jeden Marcin Radziwiłł; na cmentarzu żydowskim w Wilnie eży jeden z Potockich, Walery, który w XVIII-tym wieku przyjął talmud i na nagrobku ma napis: „*Ger Cedek*" znaczy się „Sprawiedliwy Nawrócony". W Krakowie w XVI-tym wieku była słynna Weiglowa, patrycjuszka, która z nienawiści do katolicyzmu przeszła na Mozaizm. Zresztą i za naszej pamięci, teraz, w wolnem państwie, było już k i l k a d z i e s i ą t wypadków przejścia na wyznanie Mojżeszowe i to nawet z poddaniem się bolesnemu aktowi obrzezania.

Czy tedy teraz właśnie, *anno* 1933 nie należałoby już choćby dla pozyskania dla państwa definitywnej protekcji żydostwa światowego pomyśleć i podebatować nad ewentualnie gromadnem, demonstracyjnem przejściem może nie całej ale wielkiej części inteligencji na Mozaizm?... Na razie to się może wydać ekstrawagancją czy barokiem... ale czy wypada to zakwalifikować pochopnie jako irracjonalizm, jako nonsens?... Trzeba tylko cały problem przemyśleć do końca..

Przedtem należy wziąć do ręki kilka zeszytów warszawskiego miesięcznika „Racjonalisty" oraz kilka ostatnich zeszytów krakowskiej „Gazety Literackiej". Ta ostatnia zamieściła w miesiącach wakacyjnych szereg wywiadów w sprawie żydowskiej z młodymi, obiecującymi literatami, a więc współ-organizatorami mentalności obecnej generacji. Korowód a raczej chorowód ekpektoracyj rozpoczął p. Karol Homalacs, starszej daty wysadzony z siodła eksobywatel ziemski, poczem kolejno, wypowiadali się Jerzy Braun, Kudliński, Koniński etc. wszyscy z krakowskiej ziemi. W momencie historyczno - cywilizacyjnym, kiedy solidarnie cała ludzkość chrześcijańska uświadomiła sobie konieczność walki z gangreną, z rakiem pansemityzmu, Shylockracji, *moral in-semity*, w mieście, w którem chrześcijanie są nawozem, Tschandalą, parjasami i kulisami, ci „młodzi" reprezentanci inteligencji stawali kolejno, jedni z wieloma zastrzeżeniami, inni gorąco i bez zastrzeżeń *plus minus* w rzecznictwie i orędownictwie prześladowanego w Niemczech wschodniego żydostwa. Od r. 1914 do roku 1917 był Kraków w przeważającym procencie za Niemcami i to nawet fanatycznie. Pluł na Belgję, owacjonował wizytującego Wilhelma, zapraszał Hindenburga, stawiał „tarcze z gwoździami", o Kaliszu, o Lowanium, o Prusakach nic złego nie chciał słuchać. W roku 1933, teraz Kraków jest nagle ofensywnie antyniemiecki, coprawda zawsze i wiernie za Wiedniem. Zna dzisiejsze Niemcy *à la minute*, takie, o jakich go poucza i kształci Kurjerek i Kapellnerek. To też z wywiadów tych „młodych" z „Gazety Literackiej" przegląda defetyzm, starczość, desperacja, abnegacja, apatja, gnuśność, ospałość i nędza, bezgraniczna nędza... „Doświadczyłem od żydów życzliwości i szlachetności", pisze jeden, usprawiedliwiając się, że za to będzie ich bronił... niewolniczo, ale „kazuistycznie", nie z „zapienionym" „prymitywizmem"... endeckich... warszawistów zapewne. Drugi (p. Homolacs) twierdzi, że „żydzi odznaczają się wybitną skłonnością do abstrakcyjnej spekulacji myślowej, podczas gdy my posiadamy niewątpliwie skłonności do konkretyzacji („wasze ulice, nasze kamienice, wasze legjony, nasze miljony"). Inny znów deklamuje o „żydowskim wkładzie w cywilizację", o „abstrahowaniu od szczegółów i faktów" (*sic*), o „wielkich syntetycznych rozwiązaniach", „zdala od afektów"... Każdy po kilka „truizmów", altruizmów wyświechtanych, staromodnych, prowincjonalnych, nędzarskich liberalizmów, byle tylko „sianem wykręcić się z piwnice", byle się nie narazić, byle módz wegetować, byle nie walczyć...

Najkonsekwentniejszym i jedynie w tym Krakowie konsekwentnym jest atoli tylko jeden, to jest kolega Chrapusta.

Syn chłopa z pod Tarnowa, dziennikarz, nauczył się po hebrajsku, tłumaczy z hebrajskiego i pisze poezje hebrajskie. To jest asymilacja konsekwentna i celowa i pełna. Czy za jego przewodem i przykładem nie powinni pójść teraz ci wszyscy *judaisantes*? W Sowietach zrobiła to rdzenna Rosjanka Eljaszewa i została poetką hebrajską. Czy ci wszyscy pisarze (Sobotnicy), co z nienawiści do katolicyzmu czy klerykalizmu tak się zapędzili w obronie uciskanej niewinności pansemickiej, nie powinni się teraz uczyć, a to żargonu, a to hebrajszczyzny, aby przynajmniej posiadać język miejszości, będącej im sto razy droższą i bliższą sercu, niż miljony wynędzniałych, katowanych, wydziedziczonych chłopów polskich („kułaków")?

Warszawski entuzjasta asymilacji, prof. Tadeusz Kotarbiński nie jest jednak ani za hebrajszczyzną ani za żargonem jako językiem naszej przyszłości. Podobnie jak prof. Ułaszyn i jak inni wolnomyślący chciałby żydom nieba na ziemi polskiej przychylić, rozdawałby im mannę, odbierając ciemnym tłumom katolików, ale o hebrajszczyźnie jako n o w e j ł a c i n i e Polaków jednak nie myśli. W swoim „Racjonaliście" dał projekt inny:

> „Starajmy się być powszechnie dwujęzyczni przynajmniej. Jednym z języków ogólnego użytku musi być język ogromnej większości, a więc język polski. Czy drugim miałaby być hebrajszczyzna lub yiddish? Bynajmniej. Sytuacja hebrajszczyzny przypomina sytuację łaciny. Trudno wierzyć w możliwość rozpowszechnienia się jej na wielką skalę w charakterze mowy żywej. Równie trudno uzasadnić racjonalność takiej propagandy w obliczu sił, kształtujących przyszłość Europy".

I prof. Kotarbiński (autor poważnej pracy o Baconie z Verulamu) poucza naród polski, aby więcej czytał „gazety drukowane po żydowsku" (słusznie!), nawet w szkołach niech tam trochę pouczają *yiddisch*'u. Ale drugim językiem Polaków ma być inny język europejski:

> „Mamy na myśli jeden z języków powszechności europejskiej, język niemiecki. Gdy miną wreszcie — a nie będą trwać wiecznie — obecne konflikty graniczne, gdy odejdzie w przeszłość — a to stać się musi — klęska dzisiejszego szału u naszego sąsiada, zrozumiemy i uznamy, że tym językiem przedewszystkiem sądzono nam w sprawach światowych przemawiać do świata".

Kto wie, może prof. Kotarbiński ma i słuszność?

W tym języku tyle teraz wychodzi wysoce interesujących i pouczających dzieł, publikacyj, broszur, pism, dzienników, że nauka niemieckiego całej nowej generacji polskiej przyda się stokrotnie. Literatom polskim też się zaleca. Krakowowi teżby pora była odświeżyć nieco i „przeluftować" jego zastarzały, nieprzewietrzany „*deutsche Bildung*".

ADOLF NOWACZYŃSKI

## NA MARGINESIE

U rabina berlińskiego, który przybył do Warszawy, aby wstrzymać żydów od bojkotu towarów niemieckich, zjawiła się deputacja z Nalewek.

— Toczy się między naszymi spór o to, czy ty przyjechałeś tutaj *loco* Warszawa na prośbę żydów niemieckich, czy na prośbę żydów warszawskich?

Rabin po namyśle odrzekł:

— Przyjechałem, aby zwolnić Izraela od najstraszniejszej męki, jaką zsyła Jehowa, — od męki bohaterstwa. Bo co jest? Obie strony mnie o to prosiły. A kiedy wiecie już prawdę, to idźcie i głoście po cichu — niech się Izrael nie przechwala zwycięstwami — że przyjechałem tutaj na prośbę Hitlera...

---

E r r a t a. W artykule „Jan Trzeci jako rycerz chrześcijański" K. M. Morawskiego zamiast „Addis-Abeby" (str. 591, al. 4, w. 10) ma być „Gondaru".

TREŚĆ:

Dwa procesy *Kl. Hrabyka.* — Nira *Wł. Wolerta.* — Tragedja Niemiec *W. Wasiutyńskiego.* — Głos krwi *St. Pieńkowskiego.* — Kartka z dziejów rosyjskiego wychowania państwowego w Polsce *St. Surzyckiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Dmowski o „elicie". — Nauka i literatura. — Film *Kandyda.* — Zmarli. — W rozmównicy. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.